

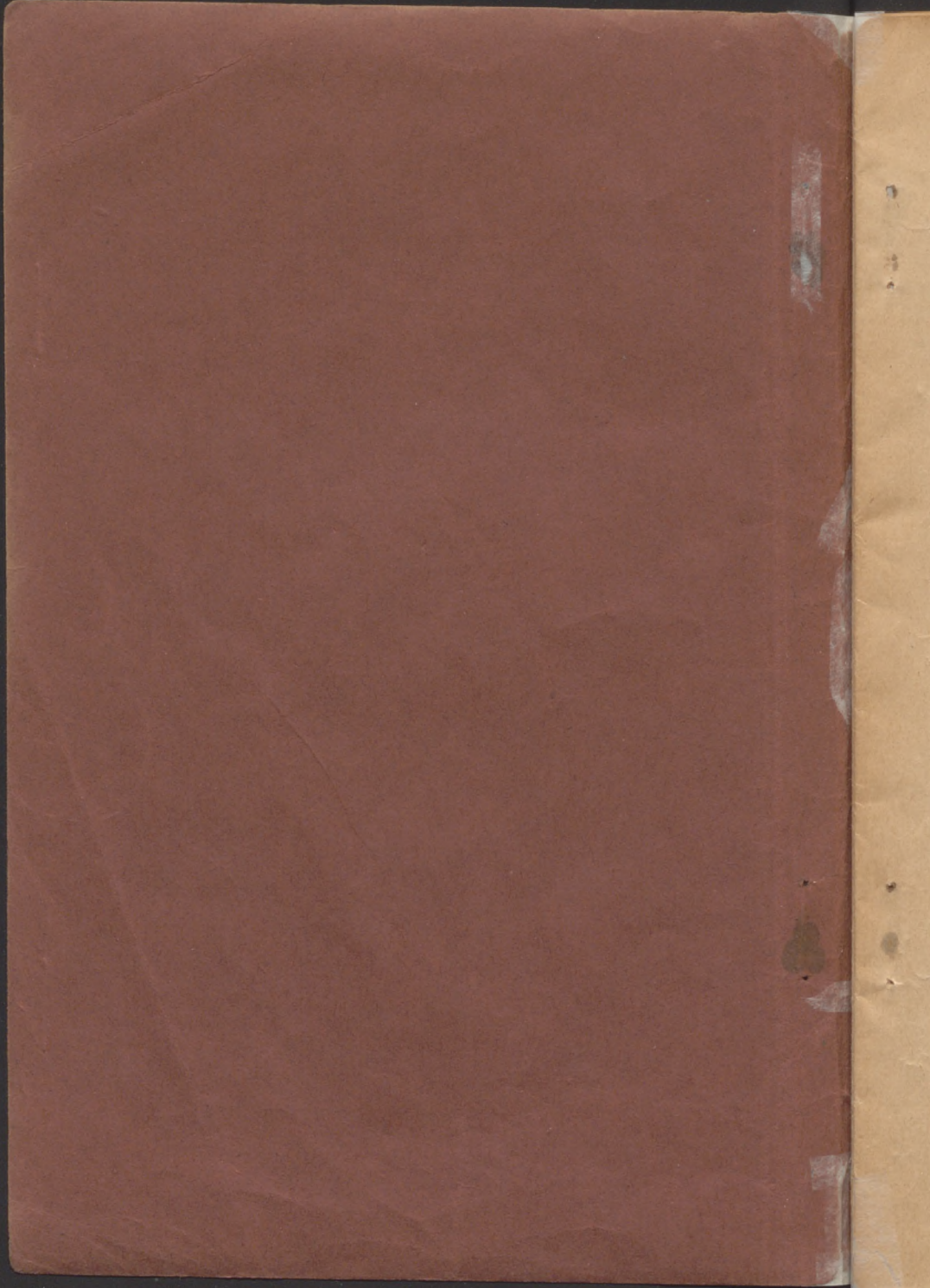
Podarek od „Gazety Grudziądzkiej”.



CZYTANKI

Przyjaciela Działwy.





CZYTANKI

Przyjaciela Działwy

Część I.



Drukiem i nakładem „Gazety Grudziądzkiej”.
Grudziądz 1912.



643911

K.156/91

Do rodziców i dzieci polskich.

Cheąc przyszłym pokoleniom naszym zachować wiarę i mowę ojców, Wiarę św. katolicką i mowę ukochaną polską, trzeba dźwiatwie naszej dawać jaknajwięcej sposobności wykształcenia się w języku ojczystym, by mogła z jaknajwiększym pożytkiem uczyć się zasad Wiary św. na polskim katechiźmie a później modlić się na polskiej ksiąźce do nabożeństwa.

To też postanowiliśmy nie poprzestawać na wydaniu i rozrzuceniu „Elementarza polskiego“, który się rozszedł w 150 tysięcy egzemplarzy, ale od czasu do czasu wydawać i rozrzucać jeszcze inne ksiąźeczki, potrzebne do dalszego kształcenia się w ojczystym języku.

Pierwszą taką ksiąźeczką są niniejsze „Czytanki“.

Mają one dziecku, które już nauczyło się dobrze czytać na „Elementarzu“, służyć jako podręcznik do dalszych ćwiczeń w czytaniu. Zadaniem niniejszych „Czytanek“ jest więc w pierwszym rzędzie utrwalenie i ugruntowanie nauki nabytej z Elementarza. Żeby zaś „Czytanki“ te równocześnie kształciły umysł dziecka w duchu katolickim i polskim, treść ich dobrana jest w sposób taki, że z każdej powiatki lub wierszyka dziecko wysnuć musi jakąś prawdę lub naukę.

Rzucając ksiąźeczkę tę między lud polski, prosimy rodziców polskich, aby zechcieli używać jej w myśl powyżej wyrażonych zadań i celów, jakie jej dajemy. Dźwiatwę zaś polską,

której w pierwszym rzędzie książeczkę tę ofiarujemy, prosimy usilnie, aby starała się jak najwięcej z niej korzystać w celu wykształcenia się w mowie ojczystej i nauczania się czuć i myśleć szlachetnie — po katolicku i po polsku.

Ktoby książeczki tej nie mógł potrzebować, niechaj nie rzuca jej do kąta, lecz podaruje dzieciom takich rodziców, którzy w domu nie mają ani gazety ani książki polskiej.

Może takie dziecko, zaniedbane pod względem wychowania, otrzymawszy ten podarek, poczuje lepiej od swych rodziców, że i ono należy do narodu polskiego i że ma obowiązek szanować język polski jako dany temuż narodowi polskiemu od samego Boga.

Oby Bóg Wszechmocny temu naszemu dziecku raczył użyzyć Swego błogosławieństwa i przyjąć je jako narzędzie ku krzewieniu Swej chwały i obronie prawdziwej wiary wśród polskiego ludu.

Wydawnictwo „Gazety Grudziądzkiej“.





Modlitwa dziecka.

„W imię Ojca — Boga, Syna,
I Świętego Ducha“ —
Mała modli się dziecina,
A Pan Bóg ją słucha.
W oczach dziecka dwie łzy duże,
Wiara w każdym słowie:
„Ojcze! — błaga — coś jest w górze,
„Daj rodzicom zdrowie!
„Pobłogosław dłońmi Swemi
„Mą rodzinną strzechę,
„A mnie dla tej naszej ziemi
„Daj rość na pociechę!“

W. Betza.

Najlepszy uczeń.

Było sobie trzech chłopców. Byli oni dziećmi równo zamożnych rodziców, równego wieku, równego wzrostu i wszyscy trzej uczyli się u tego samego nauczyciela. Uczyli się wiele, ale też mieli wielkie zdolności czyli, jak się to mówi, dobre głowy do nauki. Gdy się już nauczyli tego wszystkiego, czego ów nauczyciel mógł ich nauczyć, chcieli rodzice ich

wiedzieć, który z nich najlepiej się uczył i z którego z nich nauczyciel najwięcej był zadowolony. Przyszli tedy ci trzej ojcowie owych trzech chłopców do nauczyciela i powiedzieli mu, żeby tych chłopców w ich obecności wyegzaminował czyli wypytał, co umieją, bo chcieliby wiedzieć, czy synowie ich zasłużyli na przeznaczone nagrody. Każdy z tych chłopców wiedział, jaką mu ojciec nagrodę przeznaczył, ów nauczyciel zaś tego nie wiedział. Zaczęło się tedy egzaminowanie czyli wypytywanie tych trzech chłopców, a ojcowie ich przysłuchiwali się uważnie i radowali się bardzo, bo każdy z chłopców umiał na każde zapytanie trafnie odpowiedzieć i każde zadanie dobrze wykonać. Gdy się skończył ten egzamin, rzekł pierwszy z tych trzech ojców do swego syna. „Widzę synu, żeś się dobrze uczył i że umiesz wszystko, czego cię nauczyciel twój uczył. Obiecałem ci jako nagrodę sto talarów. Masz je tutaj i schowaj.“ Potem wystąpił drugi ojciec i tak mówił: „Przekonałem się, synu, żeś nie darmo się uczył i że masz w głowie wiele wiadomości i mądrości. Obiecałem ci, że w nagrodę ogłoszę wszystkim krewnym i znajomym o twoich postępach. Idź i zaproś wszystkich krewnych i znajomych na ucztę, którą wydam na Twoją cześć“. Wreszcie odezwał się ten trzeci ojciec w te słowa: „Uczyłeś się, synu, pilnie i umiesz bardzo wiele. Przystąp bliżej i odbierz nagrodę, jaką ci obiecałem.“ Wszyscy byli ciekawi, jaką to jest ta nagroda, a tymczasem ów ojciec przytulil syna swego do serca i ucałował go serdecznie mówiąc: „Niech ci Pan Bóg zawsze błogosławi!“ Owi dwaj inni ojcowie i ich synowie pomyśleli, że to niczem taka nagroda. W końcu prosili owi trzej ojcowie owego nauczyciela, aby im powiedział, którego z tych

chłopców uważa za najlepszego i najdzielniejszego. Wtedy ów nauczyciel powiedział im, że za najlepszego i najdzielniejszego uważa tego trzeciego chłopca, który to w nagrodę otrzymał od ojca uściski i pocałunek. Dziwowali się ci dwaj drudzy ojcowie i ich synowie, a ów nauczyciel tak im wytłomaczył swój sąd, który wydał: „Pierwszy z tych trzech moich uczniów uczył się pilnie i nauczył się wiele, ale uczynił to dla owych stu talarów, które mu ojciec obiecał. Drugi równie był pilnym i równie wielkie poczynił postępy, ale uczył się dla tej sławy, która go miała spotkać. Ten trzeci zaś uczył się pilnie i nauczył się wiele, choć ojciec nie obiecał mu ani pieniędzy ani sławy, ale tylko ojcowski pocałunek. Wszyscy trzej uczyli się równie dobrze i równie wiele umieją, ale ten trzeci godzien największej pochwały, bo do nauki pobudzała go nie chciwość pieniędzy lub chwały, ale miłość do ojca“.

Chrystus i dzieci.

Siadł w szczerem polu Chrystus Pan,
A przy nim orszak bosy:
Dziateczki, co na zżęty łan
Szły z miasta zbierać klosy.

Cisną się usta do nóg Mu
Drobnuchnej tej czeladzi
A Chrystus spuścił jasną dłoń,
I główki dziatwy gładzi.

— Rośnijcie — rzecze — ojcom swym
I matkom na pociechę...

I jako słońce chaty swej,
Wyzłóćcie niską strzechę!

A co pogładzi jasny włos,
To gwiazdy mu dokola
Sypią się, naksztalt złotych ros
Na pochylone czola.

Lecz wpośród dzieci była tam
Sierotka jedna mała,
I słysząc to, co Chrystus rzekł
W te słowa się ozwała:

— A ja nie będę, Panie, rość,
Bo na co to i komu?
Ojca, ni matki nie mam już,
A także nie mam domu.

Lecz Chrystus rzekł: — Zaprawdę wam
Powiadam, moje dziatki:
Nie jest sierotą żadne z was,
Choć nie ma ojca, matki

Bo ojcem mu jest niebios Pan
A matką ziemia miła,
Co go zbożami swoich pól
Jak mlekiem wykarmiła

A domem mu jest cały świat
Bez granic i bez końca,
Gdzie tylko sięgnie jego myśl,
Jak złota strzała słońca.

Urszulka Kochanowska.

Już temu dawno, bardzo dawno, bo lat trzysta z górą, kiedy żyło osobliwe dziecię, miała Urszulka Kochanowska. Rodzice jej mieszkali w ładnej wiosce, Czarnolesie, w ziemi sandomierskiej. Byli to bardzo cnotliwi i dostatni ludzie i mieli sześć dorodnych córek. Urszulka była najmłodsza, nie skończyła jeszcze trzech lat. Ojciec Urszulki, Jan Kochanowski, był najslawniejszym poetą swojego czasu; ale co dziwniejsza, że małe Urszulka umiała także już mówić do wiersza, i z młodego jej serduszka płynęły zgrabne wierszyki, jak słowikowe piękne śpiewy.

Było to dziecię śliczne, a dobre, jak aniołek, rozkosz całego domu, a największa pociecha i pieśczęta ojca. Z wesolą, uśmiechniętą twarzą, biegła ta dziecina po domu, śpiewając i wyciągając rączki do każdego, kto się zbliżył do niej.

Pewnego razu Jan Kochanowski spodziewał się swego krewnego i przyjaciela. Długo mu było czekać w domu, więc wyszedł na jego spotkanie. Zabięła mu drogę Urszulka:

— Chodźcie ze mną na łąkę, ojeze, narwę kwiatków dla naszego gościa.

— A czy ty wiesz, moja szczebiotko, kto do nas przyjedzie? — zapytał ją ojciec.

— A wiem — odpowiedziała Urszulka i zaśpiewała sama do siebie:

Przyjedzie tu rycerz,
Ojcu, matce drogi,
A ja te kwiateczki
Rzucę mu pod nogi.

Kochanowski uściskał i ucałował rozkoszną córeczkę i zapytał się:

— A cóż mu powiesz, gdy nadejdzie?

— Zaśpiewam mu — odpowiedziała Urszulka.

I stanąwszy przed ojcem, ujęła się rączką pod bok, główkę przechyliła, tupnęła nóżką, jak parobczak w tańcu, i takie powiedziała wierszyki:

Nie znałeś Urszulki,
A ona cię kocha,
Poznałeś ją teraz,
Pokochajże trocha“.

— A za cóż ty go kochasz? — zapytał ojciec.

Urszulka zadumała się chwilę, a potem odparła:

„Tak Pan Bóg przykazał,
Czy tego nie wiecie:
Że, kto kocha ojca,
Tego kocha dziecię“.

Zadziwiony i uradowany roztropnością dziecięcia swego, Kochanowski zawołał:

— Chodź, słowiczku mój, powtórzycie matce wierszyki.

— O! już zapomniałam — rzeknie Urszulka — ale tu są inne — dodała, palcem wskazując na główkę — to je wam powiem później.

Pewnego razu przyjechał do Czarnolesia Jan Zamojski, wielki hetman i kanclerz, przyjaciel Batorego i pierwsza w kraju po królu osoba.

Po serdecznych przywitaniach i rozmowie, prosił hetman Kochanowskiego, aby mu dzieci swoje pokazał. Matka namawiała Urszulkę, aby sama poszła powitać jakim ładnym wierszykiem dostojnego gościa, i opowiadała jej różne rzeczy: jaki to pan możny i bogaty, jakie ma śliczne zamki i pałace, drogic suknie

i klejnoty, żonę-księżniczkę, króla przyjaciela, jaki to wielki wojownik, a jaki dobry, jak dzieci kocha, lecz sam ich nie ma, a pragnie bardzo, by mu Bóg dał dziecię, a osobliwie syna. Urszulka, jakby tego wszystkiego nie słuchała, obiecała być grzeczną i dać buzi panu hetmanowi. Wzięła ją potem pani Kochanowska za rączkę i przyprowadziła przed Zamojskiego.

Kiedy ją hetman ujrzał, wyciągnął do niej ręce i zawolał:

— A czemuż mi prędzej nie pokazaliście tego aniolka?

Wziął Urszulkę na kolana i pieścił się z nią czule. Ona mu w oczy patrzała, oglądała jego drogie suknie, dotykała się drobną rączką pierścieni i klejnotów, jakie Zamojski miał na sobie; a gdy się jej zapytał, czy to piękne, odpowiedziała:

„Pięknie, cudnie i bogato,
Jak u nikogo w świecie;
Ale, gdybyć Bóg dał dziecię,
Dałbyś wszystko za to“.

Hetman zadumał się i zapytał: „Któż cię tych wierszy nauczył?“

— Nikt odpowie Urszulka — ja sama z siebie umiem takie wierszyki.

Zadziwiony Zamojski ścisnął i całował cudowną dziecinę i mówił: „Ja nie będę szukał innych dzieci, jeno będę miał sobie Urszulkę; daruję twemu ojcu wszystkie te śliczności, a ciebie wezmę do Krakowa. Już moja Urszulka, już moja!“ — zawolał i otulał ją w połę aksamitnej ferezji, że tylko jej śliczną twarzyczkę było widać, otoczoną sobolami.

Ale Urszulka, wrywając się, mówiła:

„Nie, ja dziewczyna,
Tobie trzeba syna,“

„Mnie weźmie kto inny,
Aniołek niewinny.
Ja poproszę Boskiej Matki,
Dla ciebie o zdrowe dziatki“.

Rozrzewniony hetman, ucałowawszy dobrą dziecinę, oddał ją matce z życzeniem, by ją Bóg zdrowo zachował.

Co ojczyzna?

Ojczyzna moja — to ta ziemia droga,
Gdziem ujrzał słońce i gdziem poznał Boga,
Gdzie ojciec, bracia i gdzie matka miła,
W polskiej mnie mowie pacierza uczyła.

Ojczyzna moja — to wioski i miasta,
Wśród pól lechickich sadzone od Piasta;
To rzeki, lasy i niwy i łąki,
Gdzie pieśń nadziei śpiewają skowronki.

Ojczyzna moja — to praocjów sława,
Szczerbiec Chrobrego, cecorska bulawa,
To duch rycerski, szlachetny a męski,
To nasze wielkie zwycięstwa i klęski

Ojczyzna moja — to te ciche pola,
Które od wieku zdeptała niewola,
To te kurhany, te smętne mogiły —
Co jej swobody obrońców przykryły.

Ojczyzna moja — to ten duch narodu,
Co żyje trudem wśród głodu i chłodu,
To ta nadzieja, co się w sercach kwieci,
Pracą u ojców, a piosnką u dzieci!

Jan Sawa.

Marcin Kański.

Za króla Michała Korybuta zabrali Turcy Polsce piękne i warowne miasto, Kamieniec Podolski. Przez długie lata gród ten pozostawał w rękach Turków, którzy sądzili, że już go nigdy nie oddadzą.

Stało się jednak inaczej; nadszedł dzień obrachunków, i Turcy musieli z miasta ustąpić. Marcin Kański, dowódca polski, odbierał twierdzę od tureckiego baszy. Obchodzili fortecę całą w ponurem milczeniu, nakoniec zeszli do lochu, gdzie proch przechowywano.

Wtedy basza przekładając śmierć własną i śmierć tysięcy ludzi nad upokorzenie, rzucił lont zapalony na beczkę pełną prochu. Forteca mogła wylecieć w powietrze, grzebiąc pod gruzami wojsko i mieszkańców, lecz Kański, nie tracąc chwili czasu, z całą przytomnością umysłu pochwycił knot, położył go na własnej dłoni i tam mu zgorzeć pozwolił.

Patrzył Turek na męstwo wroga, który — pomimo bólu — brwi nie zmarszczył nawet, a odwagą i cierpliwością ocalił miasto od niechybnej zguby.

Mądry kot.

Jeszcze Felek był bardzo mały, kiedy ułagał się kot Bielas; chowali się razem, ale kot wyrósł i zmądrzał prędko. Felek zaś długo jeszcze był mały i radzić sobie nie umiał. Felek lubił bawić się z kotem, ale nigdy krzywdy mu nie robił, każdym kawaleczkiem chleba dzielił się z nim, często gładził jego białe futerko. Za to wszystko Bielas bardzo kochał Felka.

Pewnego razu w chłodną noc jesienną wszyscy spali w domu snem głębokim. Kotek zwinął się w kłębek na piecu i zasnął zadowolony z ciepła, jakie dawało niezagaszone jeszcze ognisko. Na nieszczęście drzwiczki pieca nie były dobrze zamknięte, wiatr wypędził iskry i stojąca obok komina miotła zatliła się, potem zapalila i ogień przeniósł się do drzewa, leżącego opodal. Śwąd i jasność obudziły kota; widocznie pierwszą jego myślą było uchronić Felka od niebezpieczeństwa, bo z przeraźliwym miauczeniem począł drapać łapkami drzwi zamknięte, poza którymi w sąsiedniej izbie spał Felek. Gdy nikt nie obudził się na krzyk kota, skakał on do klamki tak długo, aż zdołał nareszcie otworzyć drzwi; wskoczył do śpiącego Felka, miauczał, lizał i drapał ostrożnie ręce śpiącego, dopóki go nie zbudził. Chłopiec, oprzytomniawszy, spostrzegł ogień i dym, wydobywający się z komina, rozbudził rodziców, którzy zdołali wkrótce ogień ugasić.

Gdyby nie roztropność Bielasa, pożar zniszczyłby mieszkanie, a śpiącym groziło straszne niebezpieczeństwo. W czasie gaszenia ognia Bielas nie odstępował Felka, ciągle zaglądał mu w oczy, jak gdyby chciał się przekonać, czy nie złego nie stało się jego ukochanemu towarzyszkowi; gdy po minionej trwodze wszyscy się uspokoili i udali się znowu na spoczynek, Bielas ułożył się u nóg Felka.

Pocziwiy Bielas dał wymowne świadectwo, że koty są rozumne i czasem niemniej wdzięczne od psów, o których wierności wszyscy jesteśmy przekonani.

Co ja wyczytam w książeczce.

A jak ja urosnę
I już duży będę,
To wezmę książeczkę,
W kąciuku usiedę.

I będę przewracał
Po jednej karteczce,
I wszystko wyczytam,
Co tylko w książeczce!

Wyczytam, jak rankiem
Skowronek nam śpiewa
Jak złoty się żuczek
Na słońcu wygrzewa,

Jak rybki się pluszczą
Przez modrą głębinę,
I jak ja w czólenku
Na Wisłę popłynę.

Jak pszczołka się pilnie
Nad łączką uwija
I miodek z dziewanny
Słodziuchny wypija.

Jak w zbożach swe działki
Hoduje przepiórka,
Jak na tym zajączku
Ze strachu drży skórka.

Jak ludzie budują
I domy i miasta....
Jak kamień przy drodze
W mchy siwe porasta.

Jak wilezki i lisy,
Po lasach się kryją,
Jak duszą gąsieczi,
A za to ich biją....

Jak ptaszek powraca
Do gniazdka przed nocą,
I jakie to gwiazdki
Na niebie się złocą.

Jak wszystko wyczytam,
Wszystkiego się dowiem,
To zamknę książeczkę
I mamie opowiem.

Nasze zboża.

Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj, mówimy codziennie w pacierzu; i rzeczywiście też najważniejszym naszym pożywieniem jest chleb. Robimy go z mąki żytniej, pszennej, a w niektórych okolicach i z jęczmiennej, mąkę zaś — jak wiadomo — otrzymujemy z ziarna zboża.

Wszystkie nasze zboża podobne są do traw i naprawdę są to trawy, ale mające duże, pożywne ziarna, na czym polega głównie ich użytek. Prócz tego dają one słomę, której używamy na pokrycie dachów, na paszę (zwaną sieczką) i podściółkę dla koni i bydła, a także na niektóre wyroby, jak: kapelusze, słomianki, koszyczki i t. p.

Najważniejszą rośliną zbożową jest żyto, które bywa o zimie, zasiewane w jesieni, i jare, zasiewane na wiosnę. Chleb z mąki żytniej jest ciemniejszy, ale bardzo pożywny. Z żyta wyrabiają także spirytus.



Marcin Kątski. Str. 13.



Piosnka sieroty. Str. 31.

Pszenica wymaga lepszego gruntu i dlatego nie wszędzie uprawiana być może. W naszym kraju najlepszą rodzi pszenicę ziemia kujawska, sandomierska i hrubieszowska. Mąki pszennej używamy na delikatniejsze pieczywo, rozmaite potrawy i do fabrykacyi makaronu włoskiego.

Jęczmień ma kłos podobny do żyta i pszenicy, ale opatrzone dłuższymi ośmiocyli wąsami. Rodzi się na gorszych gruntach. Chleb z mąki jęczmiennej nieosobliwy, ale za to z ziarna dobra kasza. Jęczmień służy także do wyrobu piwa.

Owies służy przeważnie na pokarm dla koni. Lubią go także gęsi i dobrze się na nim karmią. W górach w braku żyta i pszenicy, wypiekają z owsa chleb, zwany plackami owianymi. Niebardzo smaczne są jednak owe placki. Jakże pięknie wyglądają szerokie pola na wiosnę, umajone świeżą zielenią żyta i pszenicy! Zboża te przezimowały, okryte puchami śniegu, a gdy cieplejsze słońce zaświeciło, zaczęły dalej w górę rosnać.

W połowie maja zaczyna się zboże kłosić, to też nie bez słusności wieśniacy powtarzają: „Święta Zofia kłoski wywija.“ W końcu czerwca kwitnie. Kwiatki zboża są nikle, drobne, blado-zielone. Gdy zboże kwitnie, rolnicy ze strachem patrzą w niebo, czy złowroga chmura nie nadciąga, bo deszcz ulewny i wiatr gwałtowny jest wtedy dla zboża bardzo szkodliwy.

• Z kwiatów tworzy się ziarno. Jest ono z początku miękkie, daje się rozgniatać w palcach, ale pod wpływem ciepła słonecznego twardnieje i dojrzewa. Żdźbło i liście, których jest bardzo mało, zaczynają żółknąć, bieleć i wtedy nadchodzi czas żniwa, najważniejsza pora roku dla rolnika.

Miasta w Polsce.

Gniezno.

Gniezno i Poznań miał jeszcze założyć ów Lech z bajki, który, przywędrowawszy ze swoją drużyną w okolice rzeki Warty, zaczął tam odwieczne lasy trzebrć. Na jednym z drzew znaleziono gniazdo z orlętami i od owego gniazda, jak podanie mówi, nazwał Lech siedzibę swoją Gniezdem. Wiadomo jednak, że to bajka i że Gniezno ma swą nazwę od wyrazu „gneź“ czyli ksiązę. W katedrze gnieźnieńskiej spoczywają zwłoki świętego Wojciecha, pierwszego patrona Polski.

Kruszwica.

Jest to małe i niepozorne miasteczko. Trochę chat drewnianych, trochę domów murowanych, ruiny, kościół — oto i wszystko. A jednak ta uboga miejscowość droga jest sercu każdego Polaka, bo tam wziął początek ród Piastów, którzy lat pięćset rządili naszą ziemią. Z owych odległych czasów dwie tylko pozostały pamiątki.

Na pagórku, nad samym brzegiem Gopła, wznosi się wysoka na 127 stóp wieża, doskonale z cegieł zbudowana. Z boku resztki ścian do niej przylegają. To „Mysia wieża“ księcia Popiela i szczątki jego zamku. Poniżej wzgórzka chaty rybackie, a z trzech stron wody Gopła.

Na drugim brzegu jeziora wznosi się kościół katolicki. Podanie mówi, że naprzeciw kościoła, na polu, stała przed wiekami chata Piastów.

Kruszwica miała czasy swej wielkości... Wielkość minęła, zamek i inne budowle rozpadły się w gruzy, tylko kościół pozostał.

Poznań.

Poznań jest dzisiaj znacznie większem i ludniejszym miastem, niż Gniezno. Rzeka Warta z pobocznemi pod Poznaniem płynie i oddziela samo miasto od przedmieścia Chwaliszewa, które jest najdawniejszem. Tam wznosi się tum czyli kościół katedralny, a w kościele tym pogrzebani nasi pierwsi historyczni królowie: Mieczysław I i Bolesław Chrobry.

Kraków.

Kraków, wzniesiony podług podania przez Kraka, ma śliczne położenie. Z daleka już miasto widać, a zwłaszcza wzgórze Wawel, na którym jest kościół i zamek królewski. A u stóp Wawelu nasza Wisła płynie i o dawnych czasach nieustannie gwarzy. O! bo też Kraków różne czasy pamięta: i złe i dobre, i smutne i wesole! A kto chce te dawne czasy poznać lepiej, niech jedzie do Krakowa i obejrzy mieszczące się w nim pamiątki. W żadnem mieście polskiem niema ich tyle, co w Krakowie. Przez tysiąc lat się one w nim gromadziły.

Dokoła miasta śliczne wzgórza, a wśród tych wzgórz mogiła Kraka i jego córki, Wandy, co wolała się w Wiśle utopić, niż pójść za Niemca; na górze św. Bronisławy kopiec Kosciuszki. Kraków leży w Galicyi, to jest tej części Polski, która jest pod panowaniem Austrii.

Warszawa.

Warszawa jest najpiękniejszym miastem polskiem. Leży także nad Wisłą na wysokim dość brzegu i dla tego od strony rzeki najpiękniej się przedstawia, a szczególnie zamek królewski.

Od zamku na prawo ciągnie się najdawniejsza część miasta; w której jest piękna katedra i dużo innych kościołów. W tej części domy są małe i wązkie, a ulice ciasne.

Na lewo od zamku ciągnie się nowsza część miasta z szerokimi ulicami i pięknymi, nieraz bardzo wielkimi pałacami i domami. Z ulic tych najładniejsza Marszałkowska. Po między ulicami są tu i owdzie duże place, jak plac Teatralny, Grzybowski, świętego Aleksandra. Place ozdobione są skwerami, to j. małymi ogródkami. Dużych ogrodów jest w Warszawie niewiele. W środku miasta leży ogród Saski, a najobszerniejszy z ogrodów to — Łazienki. W ogrodzie tym jest ładny pałacyk, wystawiony przez ostatniego króla polskiego, a niedaleko od pałacyku pomnik Jana Sobieskiego. Jest jeszcze w Warszawie kilka innych pomników, jak Adama Mickiewicza i Mikołaja Kopernika.

Na ulicach ludno, czysto, wieczorem jasno od latarni gazowych i od lamp w wystawach sklepów. Po mieście krążą dorożki, samochody i koleje elektryczne.

W mieście ruch wielki, bo mieszka w niem stale około 800 000 ludzi, a dużo jeszcze osób codzień przyjeżdża do Warszawy koleją żelazną: wiedeńską, nadwiślańską, terespolską lub petersburską.

Czem ja będę?

Nieraz sobie myślę o tem,
Czem ja będę, gdy urosnę?
Czy kuć będę w kuźni młotem,
Czy obrabiać piłą sosnę?

Czy też może własną grzędę
Orać przyjdzie sochą krzywą?
Czy na tratwach flisem będę
Wisłą splawiał złote żniwo?

Czy zapadłszy w puszcze, w knieje,
Dzielnym stanę się leśnikiem,
Co to nigdy nie blednieje,
Choć się spotka z wilkiem, dzikiem.

Albo może będę badał,
Het na niebie księżyc złoty,
Ludziom dziwy opowiadał,
I tłumaczył gwiazd obroty?

Może w księgach się zagrzebię
Aż po uszy, aż do brody!
I jak pszczoła zgubię siebie
Słodkie braciom ciągnąc miody.

O to jedno proszę Boga,
Niech mnie darzy szczęściem takim:
Jakbądź pójdzie moja droga,
Żebym był dzielnym Polakiem.

Baba.

Po wiejskiej, piaszczystej, kamieniami i wybojami pokrytej drodze, idzie siwa, stara babulka. Zmęczona jest i zakurzona, pot grubymi kroplami splywa po jej pomarszczonych policzkach. Opiera się silnie na zakrzywionej lasce, przez plecy przerzuciła sakwy zebracze.

Słońce dogrzewa silnie, choć to jeszcze wiosna, i babulka iść wcale nie może. Usiadła pod krzywą wierzbę i patrzy na pasące się krowy dróżnika, leniwie poruszające wargami, a duże ich wymiona zapowiadają obfitość mleka.

Babulce pić się chce strasznie. Mleko... — myśli, — są ludzie, co mają mleko. Jacy szczęśliwi!

Małgosia i Antek pilnują krów rodzicielskich i gawędzą. Antek wykręca fujareczkę, a Małgosia zbiera rozchodnik na wianuszki. Zobaczyli starowinę.

— Baba, baba! — krzyczy przestraszona Małgosia.

Antek leniwie podnosi głowę.

— To i cóż? Baba. Mało to lazi po drogach tych darmozjadów!

Aż lzy babulce cisną się do oczu. Taki dzieciuch, a od darmozjadów wymyśla.

— A zarobiłeś ty co w życiu, — pyta starym trzęsącym się głosem. — He?

Antek się zawstydzil. Myślał, że nie slyszała.

— A wam co do tego? — odburknął gniewnie.

— A mnie nic. Wiem, że to wielka robota fujarki wykręcać i krowiny po rowach ganiać, wielka! A potem do domu wrócić, do matuli, okraszone kartofle zajadać i mlekiem zapijać.

I lzy płyną babulce po pomarszczonej twarzy.

— A wiesz ty, dzieciuchu, co cię w życiu czeka, a wiesz ty, czy kija żebraczego nie ujmiesz w garście i nie pójdziesz w świat? He? Po proszonym chlebie.... Po proszonym chlebie, — kończy cicho.

I chwilę nie nie mówi. Zafrasował się Antek, zasłuchała się Małgosia, oczki modre wlepila w babulkę i usta z podziwu otworzyła.

— Antek po proszonym chlebie? Co wy, babulko, mówicie?

— A niech was... — zawołał Antek. — Ja dziadem? ja pracować będę, a nie żebrać!

— Hola, hola, chlopecze, powoli, powoli. Myślisz może, że ja urodziłam się żebraczką, co? nie miałam ojca, matki, że nie miałam chaty białej, co?

Oj, miałam ci ja ojca, miałam ci ja matkę i chałupkę małą, ale własną. Dwie grusze ocieniały ją, stare grusze, co pradziad je posadził. Oj, słodziutkie rodziły owoce, słodziutkie!

— Patrzcie! — dziwi się Małgosia, widząc pomarszczoną twarz starowiny.

— Myślisz, że nie?

— A myślę! — odpowiada Małgosia.

A babulka śmieje się długim, smutnym śmiechem.

— Oto widzisz, co się robi z urody, co zostaje z dostatku. Twarz pomarszczona, bezzębna, z dostatku — kostur żebraczy. Ha!

Potrząsnęła kosturem.

— Ot krasa, ot dostatek. — A potem cię dzieciaki po drogach babą przezywać będą i kłać: a bodaj cię, darmożjadzie!...

A lzy płyną i płyną.

— Babusiu, — zagaduje Małgosia.

— Babko, mówi patrzeć jej w oczy Antek.

— Babulu — prosi Małgosia. — Babulu, chodźcie do chaty.

— Na zsiadłe mleko i ziemniaki — dorzucą Antek.

— He, co mówicie? Wstyd babę, darmożjada, karmić, wstyd!

I podnosi się z trudem babulka i utykając idzie w świat po proszonym chlebie...

— Z Bogiem zostańcie, dzieci! — mówi.

A dzieci odpowiedzieć nie śmia, tak im wstyd i taki żal ścisła serce.

Pracujcie, Dziaatki!

Mały Jezus, Zbawca świata,
Wasz rówieśnik, dziaatki,
Własną rączką co dzień zmiata
Kurcz z progu swej chatki.
I świętemu Józefowi,
Strudzonemu wielce,
Własną rączką dopomagał
W pracy przy ciesielce.
A wam czyżby każda praca
Miała iść niesporo?
Na kolana padnij, dziaatwo,
Przed Jego pokorą.
Módl się szczerze i gorąco
Do Jezusa w niebie,
By tę świętą chęć do pracy
Przelał i na ciebie!

Królowa Kinga i kopalnie soli.

Panowała niegdyś w Krakowie królowa Kunegunda czyli Kinga, małżonka króla Bolesława Wstydlwego.

Była to pani bardzo pobożna i dobroczynna, a przytem świątobliwa, bo lud nasz cuda dziwne o niej rozpowiada. Między innymi mówi o tem, że, kiedy jeszcze była na Węgrzech, u króla Beli, ojca swego, a dowiedziała się, że ma zostać królową polską, chciała się swej nowej ojczyźnie czemś przysłużyć. Udała się więc do kopalni, gdzie sól wydobywano na Węgrzech, i rzuciła tam w studnię, czyli szyb kopalniany, złoty swój pierścień.

Przybywszy następnie do Polski, wyjechała z zamku krakowskiego w okolice i kazała w Wieliczce, o dwie mile odległej, kopać ziemię. Tam znaleziono jej pierścień w wydobytej bryle soli.

Tym sposobem przysłużyła się nowej ojczyźnie, gdyż jej winniśmy odkrycie tego wielkiego bogactwa, jakim jest sól, bez której, jak wiecie, obejść się nie można.

Jak tam było, to było, dość, że niezaprzeżenie jej małżonkowi, Bolesławowi Wstydliwemu, winniśmy w każdym razie uporządkowanie i rozszerzenie największej w świecie kopalni soli w Wieliczce, a także i w Bochni.

W istocie ze wszystkich przypraw, które mi zazwyczaj potrawy nasze czynimy smaczniemi, żadna nie jest tak potrzebna i ważna, jak sól, przed którą i cukier i pieprz, cynamon i t. p. na bok iść muszą. Najlepsze dania nie byłyby smaczne, gdybyśmy do nich choć trochę soli nie domieszali. Bez soli nie dałoby się wielu środków żywności, jak: mięso, ryby i t. p. wcale przechować; zepsułyby się wkrótce i stałyby się niezdatnymi do użytku na pokarm.

Modlitwa polskiego dziewczęcia.

Wiem ja, bo mi o tem
Mama powiadała;
Zem dziecię tej ziemi,
Zem jest Polka mała.

I wiem, jak mi Polska
Jest droga i miła,
Bom się w polskiej mowie
Pacierza uczyła.

Bo mię polskie niwy
Chlebem swym karmily;
Bo mię polskiej piosnki
Skowronki uczyły.

Bo mię tam na niebie,
Strzeże Małka Boska,
Ta polska królowa,
Nasza Częstochowska.

Bo przy Bożym tronie,
Polscy Święci stoją,
I codzień się modlą
Za ojczyznę moją.

Więc i ten paciorek
Polskiego dziewczęcia,
Przyjm, o wielki Boże,
W ojcowskie objęcia!

Bo on się z mej duszy
Wyrywa jak lkanie:
„Ojczyznę i szczęście
Racz nam wrócić, Paniel!“

Przemiana wody.

Woda jest najważniejszym płynem na świecie. Mróz zamienia ją w lód, ciepło w parę wodną.

Należmy na miseczkę trochę wody, postawmy w miejscu zacisznym i ciepłym, a po kilku dniach zobaczymy, co się z wodą stało.

Niema jej, zniknęła, zamieniła się w drobniutki, niedojrzane okiem pęcherzyki, w gaz, zwany parą wodną, i uleciała w powietrze.

Toż samo dzieje się przy wysychaniu wszystkiego, co jest mokre, a więc: kamieni

po deszczu, umytej podłogi, mokrej bielizny i t. d.

W ciepłe dni lata w powietrzu dużo jest pary wodnej. Ulatuje ona bez przerwy z powierzchni mórz, rzek, strumieni i t. d., z tysiąca wilgotnych przedmiotów, a także z oddechów ludzi i zwierząt.

Nadchodzi wieczór; nagrzana promieniami słońca powierzchnia ziemi i wszystko, co się na niej znajduje, stygnie. Ciepłe powietrze, stykając się z oziębioną powierzchnią różnych przedmiotów, a więc i ziemi, ochładza się, a wskutek tego zawarta w niem para wodna natychmiast skrapla się i osiada na wszystkim, jako rosa. Wczesną wiosną lub jesienią rosa nieraz marznie na liściach i zamienia się w szron czyli biały mróz.

Jeżeli w powietrzu jest wiele wilgoci, jak to bywa nad łąkami, bagnami, stawami i t. d., wówczas para wodna unosi się w powietrzu, jako mgła.

Mgła, skłębiona w rozmaite kształty, nosi nazwę chmur lub obłoków.

Skoro w obłokach zbierze się zbyt wiele wody lub gdy chłodny wiatr nagle obłoki oziębi, woda spada w kroplach, jako deszcz.

Krople deszczu, zamarzające szybko w nieforemne bryłki lodu skutkiem nagłego zima, to grad.

Jeżeli zaś kropelki wody marzną powoli, wówczas łączą się w drobne gwiazdki lodowe i spadają na ziemię, jako płatki śniegu.

Tak więc woda, zabrana z powierzchni ziemi w postaci pary, spada napowrót na ziemię, jako rosa, szron, mgła, deszcz, grad i śnieg.

Według Brz zińskiego.

Ofiara Jagusi.

Było to w pewnej wiosce w Wielkiem Księstwie Poznańskiem, a działo się przed trzydziestu laty. Mieszkańcy owej wioski, gospodarze zamożni i ubodzy komornicy, byli ludźmi pobożnymi. To też kościółek, choć na zewnątrz skromny, wewnątrz był bardzo dostatnio i pięknie przyozdobiony, a na każdym nabożeństwie dom Boży zapelniony był po brzegi. Pobożni ci parafianie zachowywali bardzo piękny zwyczaj na Wielki Piątek, kiedy to Przenajświętszy Sakrament przechowuje się nie w tabernakulum na wielkim ołtarzu, ale w umyślnie urządzonym grobie Pańskim. Wiadomo, że przy tym grobie palą się zwykle piękne kolorowe lampki, które pozawieszane są na bramce, przedstawiającej wnijście do grobu, i tworzą świetlany wieniec około tego miejsca, gdzie w tej chwili przebywa Pan Jezus. Bogobojni mieszkańcy owej wioski od dawna przestrzegali zwyczaju, że w Wielki Piątek najstarsze dziecko z każdej rodziny składało w ofierze lampkę do oświetlenia grobu Pańskiego. Ile rodzin z dziećmi było we wsi, tyle też lampek paliło się przy grobie, bo nawet ubodzy komornicy nie żalowali wydatku na tę ofiarę. Naturalnie taki komornik nie mógł się zdobyć na taką piękną i drogą lampkę jak taki gospodarz.

Był to więc zwyczaj, od którego nikt za nie nie chciał się wylączyć. To też i biedna komornica, Stachowiakowa, od lat kilku wdowa, a na domiar złego od dłuższego czasu ciężką złożoną chorobą, niemal się frasowała, gdy pomyślała o tem, że jej Jagusia tym razem nie będzie mogła zanieść lampki do oświetlenia grobu Pańskiego. Nie mniej od

matki trapiła się biedna Jagusia, i im więcej zbliżał się Wielki Piątek, tem częściej zamysłala się kłopotliwie, a nawet nocami spać nie mogła od tej troski. A tymczasem dzień po dniu upływał, a ani matka ani córka nie wynalazły sposobu, aby wydobyć z kąd grosik na najskromniejszą lampkę. Jagusia mimo swych 13 lat pracowała wprawdzie i zarabiała już dosyć dużo, a i 12-letni Józiek służył już i przysparzał biednej matce dochodu; ale praca ich przynosiła ledwie tyle, że cała rodzina miała dach nad głową i łyżkę strawy do ust.

W Wielki Czwartek biedna Jagusia, chodząc po łące za małemi gąsienkami, miała oczy zapuchnięte od płaczu, bo prawie całą noc przepłakała ze zmartwienia nad swoją smutną dolą. I tak była stroskana, że ani ten wesoly świergot ptaków ani widok kwiatów wśród młodej trawy nie zdołał jej rozweselić.

Napotkawszy jednak kępkę, okrytą złotemi kluczykami, zaczęła je zrywać, potem znalazła w cieniu drzew mnóstwo fiołków, a potem już szukała coraz to innego kwiecica i układała je w piękne równianki. Patrząc na te śliczne kwiatki, Jagusia naraz zamyśliła się, a potem rozplakała się z radości. Bo oto te kwiatki podaly jej myśl, jakby mogła Panu Jezusowi, złożonemu w grobie, złożyć godną ofiarę, chociaż nie miała ani grosza na lampkę.

Kiedy następnego dnia ludzie zebrali się w kościele na Gorzkie Żale, grób Pański wedle zwyczaju jasnym kolorowemi lampkami, które dzieci z całej wioski przynosily na ofiarę. Od dzieci Stachowiakowej nie było lampki. Podpadało tylko, że całe sklepienie grobu ubrane było bardzo pięknie bukietami

z najróżniejszych kwiatków polnych. Dziwowali się ludzie, dziwował się i ksiądz proboszcz i zaraz po nabożeństwie zapytał się kościelnego w zakrystyi, kto to tak pięknie umiał grób Pański. Kościelny powiedział, że to zrobiła Jagusia, a miał strach, że może dobrodziej to zgani. Ale proboszcz powiedział tylko, że to jej się ładnie udało, a następnego dnia służąca z probostwa przysłała do izby Stachowiakowej z wielkim koszem, w którym było święcone, a także butelka wina dla chorej. W pierwsze święto zaś po niesporach dobrodziej sam odwiedził biedną wdowę i pochwalwszy Jagusię za jej piękną ofiarę, polecił jej, aby odtąd dostarczała kwiatów do kościoła, za co miała otrzymywać stałą zapłatę.

Tak to Pan Jezus owej biednej Jagusi i matce jej zapłacił za tę ofiarę z kwiatów, która wprawdzie nic nie kosztowała, ale złożona była w prostocie i pokorze pocziwego serca dziecięcego.

Ziemia rodzinna.

Całem mem sercem, duszą niewinną,
Kocham tę świętą ziemię rodzinną,
Na której moja kołyska stała
I której dawna karmi mię chwała.

Kocham te krasne kwiaty na łące,
Kocham te lany, kłosem szumiące,
Które mię żywią, które mię stroją,
I które zdobią ojczyznę moją.

Kocham te góry, lasy i gaje,
Potężne rzeki, ciche ruczaje;
Bo w tych potokach, w wodzie u zdroja,
Ty się przeglądasz, ojczyzno moja,
Krwią użyźniona, we łzach skąpana,
Tak dla nas droga i tak kochana.

Piosnka sieroty.

Oj, ubogi ja sierota
Na tym świecie sam!
Młynarzowe gęsi pase,
Na fujarce gram.

Leć-że, glosie, leć po rosie,
Ty piosenko ma,
Sam Pan Jezus słucha z nieba,
Jak sierota gra!

Sam Pan Jezus słucha z nieba,
Zza tych złotych chmur,
Jak się echo fujareczki
Odbija o bór.

Idzie ojciec, idzie matka
Przez niebieski próg,
Tylko im to rajskie kwiecie
Kłoni się do nóg.

Tylko im ta rajska zorza
Złote szaty tka;
Tylko z oczu lzy im leca,
Jak Jasieńko gra.

A ty, ojeze, a ty, matko,
Błogosławcie mnie,
Niech-że ja też na tym świecie
Nie zagubię się;

Niech-że ja też na tym świecie
Jasną dolę mam
I wesolo gąskom moim
Na fujarce gram.

Strachy w lesie.

W małym domku leśnika panowała zupełna cisza: leśnik wyszedł las przejrzeć, żona jego nie powróciła z miasteczka, dokąd poszła po zapasy żywności, potrzebne w gospodarstwie. W chacie została tylko dziesięcioletnia Małgosia. Krzątała się ona żwawo, aby przygotować wieczerzę: rozpałała ogień na kominku, nastawiła kociołek z wodą, a na stole, zasłanym czystą, choć grubą serwetą, przygotowała chleb, łyżki, sól i talerze, poczem zadowolona szepnęła:

— No, teraz już matula i tatuś nadejść mogą.

Usiadła przy oknie i wyglądała, czy nie idą, lecz ściemniać się zaczęło, a na ścieżce nie było widać nikogo. Zaniepokoiła się wreszcie Małgosia; to wybiega na ganek, to wraca do izby. Wtem dolatują z lasu jakieś niewyraźne jęki; nasłuchuje uważniej: oczywiście ktoś jęczy lub ratunku woła.

— Jezus, Marya! — myśli Małgosia — cóżby to być mogło? Może ojca jakie nieszczęście spotkało.

Czytała nieraz o zbójcach, którzy ukrywają się w lesie, napadają, rabują, a nawet zabijają ludzi, i zimno ją przejęło, gdy o tem pomyślała.

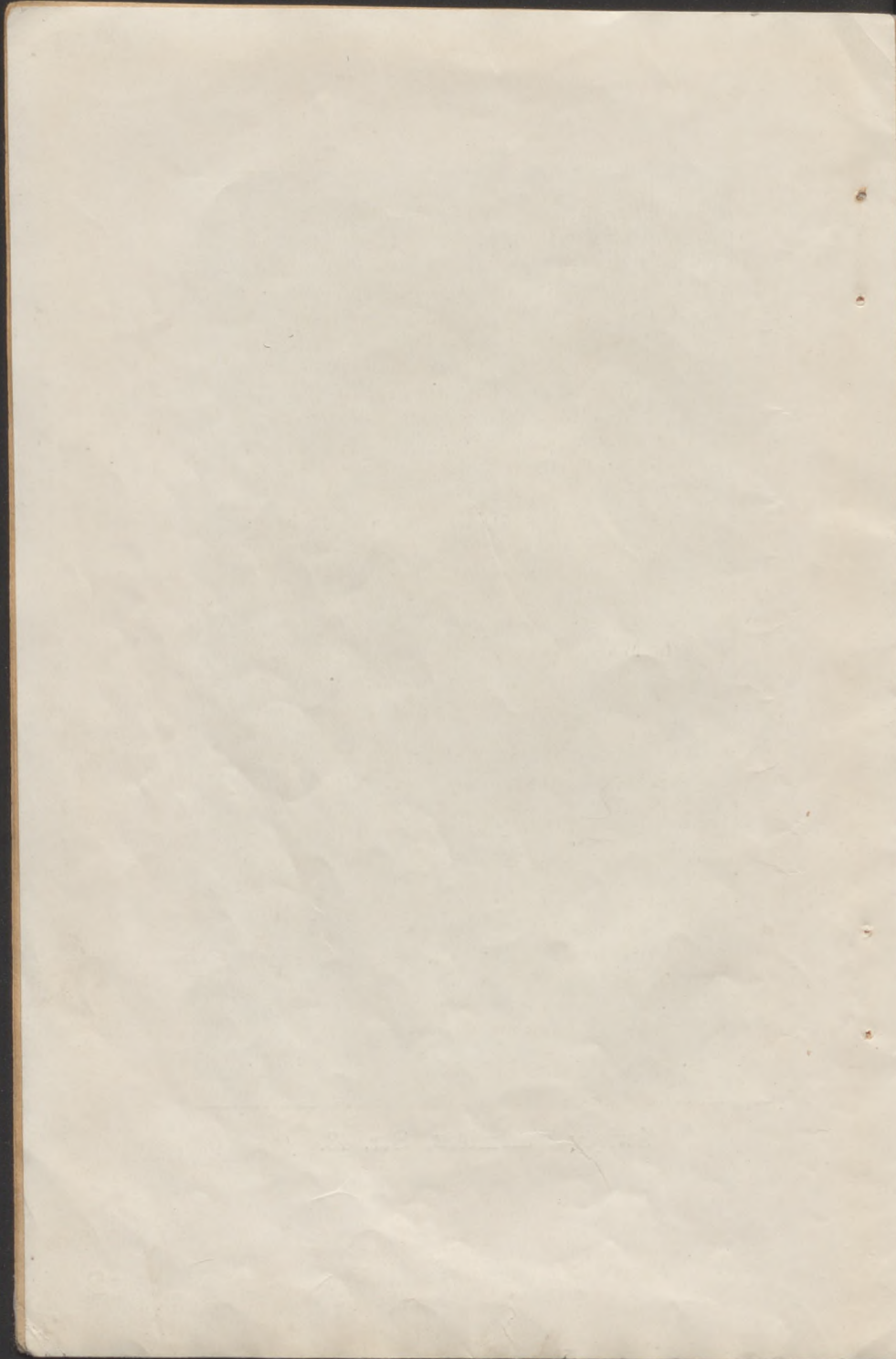
— A-hu! A-hu! — doleciało ją znowu.

Strasznie już teraz przerażona dziewczynka chciała iść do drzwi, lecz taka ogarnęła ją obawa, że ruszyć się nie mogła.

Tymczasem noc zapadła, a Małgosia, siedząc przy stole, ukryła twarz w dłonie, płacząc i drżąc cała; nie zauważyła nawet, że ogień wygasł na kominku i powinna światło zapalić. Bo jakże tu myśleć o czem, kiedy za



Święty Kazimierz. Str. 43.



oknami rozlegają się te straszne głosy: A-hu! a-hu! slychać tętent koni, uciekanie, wołanie ratunku... Tak, jest pewna, że zbójcy zabrali jej ojca i matkę, a teraz idą dom zrabować i pewnie ją zabiją. Naraz słyszy wyraźnie tuż za oknem głosy ludzkie i rozmowę, więc prawie bezprzytomnie szeptce:

— Już, już nadchodzą, mój Boże!

Słyszy jeszcze ciężkie stąpanie w sieni, gwałtowne naciśnięcie klamki i...

— Ach, ja nieszczęśliwa! — woła dziewczę i pada na ziemię bez zmysłów.

— Co się stało? — pyta troskliwie matka, wchodząc do izby. — Co ci jest, moje dziecko?

Ojciec tymczasem, zapaliwszy światło, podniósł z ziemi zemdloną dziewczynkę i tulił, nie rozumiejąc, co jej się stać mogło.

Powoli Małgosia przyszała do siebie, uspokoiła się, widząc rodziców, i opowiedziała im swoje obawy, co jej się zdawało i czego się lekala.

— Nic dziwnego — rzekł ojciec — żeś słyszała rozmowę za oknem, bo niedaleko domu spotkaliśmy się z matką i rozmawialiśmy, idąc. A kiedym drzwi otwierał, zdawało ci się, że to zbójcy? Ha, ha, ha! a to zuch z ciebie dziewczyna! Od czasu, jak mieszkam w tym lesie i chodzę po nim o różnej porze, nigdy jeszcze nie spotkałem zbójcy!

— A co to były za jęki i krzyki? — zapytała jeszcze Małgosia.

— To ci się pewnie z wielkiego strachu tak zdawało — odpowiedział ojciec.

Lecz gdy słów tych domawiał, z za okna doleciał ich głos:

— A-hu! A-hu!

— A co, słyszycie? — spytało trwazne dziewczę.

— Więc to ten głos napędził ci takiego strachu? — zaśmiał się ojciec. — Chodź ze mną, pokażę ci tego zbrodniarza.

Noc była widna, więc dobrze rozejrzeć się było można dokoła.

Na dachu domku leśniczego siedział puszczyk i wciąż powtarzał swe przeraźliwe wołanie:

— A-hu! a-hu!

Teraz reszta obawy opuściła Malgosię, przekonała się bowiem naocznie, że nie było czego się lękać, w końcu nawet śmiała się sama z siebie. Długo jednak pamiętała przygodę z puszczykiem, która oduczyla ją wszelkiego niepotrzebnego strachu.

Kopiec Kościuszki.

Za miastem na wzgórzu świętej Bronisławy
Wznosi się mogiła dla potomnej sławy,
Dla potomnej sławy każdego Polaka,
Aby się szczycili z Kościuszki rodaka.
Płyną spiesznie lata, czas prochy rozmiata,
Lecz Kościuszki sława głośną jest u świata;
Co zrobił wielkością, stałością swej duszy,
Tego czas nie zatrze, wiek żaden nie skruszy.
Daj nam, dobry Boże, byśmy każdej chwili
Z Kościuszki żywota cnoty się uczyli,
Z Kościuszki przykładu chęć do pracy brali
I, jak on, ojczyznę nad wszystko kochali.

Dobre dzieci.

W pewnem miasteczku, w nędznym domku, mieszkała praczka z dwojgiem małych dzieci. Była ona bardzo uboga, a pilnie pracowała. Cały dzień od rana do nocy prała, czasem ręce miała nabrzmiałe, ale nie mogła odpoczywać. Któżby jej dzieci karmił i przyodziewał? Dobre były to dzieci: nie nudziły matki, kiedy była zajęta, lecz bawiły się same na ganku domu albo w ogródku, który się znajdował przy domku.

W tym to ogródku dzieci bardzo lubiły się bawić, biegały, budowały ploty, domki z kamieni i wiele innych rzeczy.

Raz, kiedy się dzieci tak bawiły w ogródku, usłyszały, jak matka zawołała na Wacusia. Wacusi miał już lat siedem, był starszy o rok od swego braciszka; zerwał się i prędko pobiegł do matki.

Po chwili wraca z głową na dół opuszczoną.

— Co ci to? — pyta Stach, jego brat — czy się mama na ciebie za co gniewała?

— Nie, Stachu — odpowiada Waciuś po cichu — nie lajała mnie, ale żebyś ty wiedział, jaka mama nasza biedna.

— Dlaczego? — pyta braciszek.

— Oj biedna — mówi ze łzami w oczach Wacusi.

— Zawołała mnie, ażebym rozwiązał supełek sznureczka, bo ją ręce boją. Spojrzałem na mamine ręce, były na nich tak wielkie pęcherze, jak gdyby się poparzyła. Zapytałem, dlaczego mama tak pokaleczone ma ręce?

— Z pracy, synku — odpowiedziała — od świtu piórę, teraz spieszyć się muszę z prasowaniem.

— Prosiłem mamę, ażeby wypoczęła, ale ona powiada, że jakby teraz wypoczywała, to nie będzie mogła kupić chleba na podwieczorek.

— Biedna mama — westchnął pocichu Stach — żebyśmy to jej w czem pomódz mogli? — I zamyślili się obaj chłopcy.

— Ach! — wykrzyknął Wacusz — wiem, co zrobię! Tam za naszą osadą jest fabryka. Mieszka w niej bardzo dużo ludzi, widziałem raz, gdy bieliznę z mamą nosilem. Pójdę i poproszę, żeby mi dali jaką robotę; jestem silny, potrafię pracować.

— I ja — zawołał Stach.

— No, to chodźmy.

I chłopcy, nie myśląc długo, przeszli przez parkan i pobiegli wprost przed siebie, gdzie zdaleka wznosił się duży budynek z ogromnym kominem.

Biegli długo, wreszcie zatrzymali się przy czerwonym gmachu.

— Co to za dziwny dom — mówił Stach — nigdy nie widziałem takich domów; na co taki duży komin? A jaki turkot w tym domu, jakby tysiąc koni po moście stąpało.

Była to fabryka papieru.

— A wy co tu robicie? — zapytał jakiś nieznajomy, przechodząc koło dzieci.

Przestraszeni chłopcy wybąknęli nicśmiało, że szukają pracy.

— Jakto! wy chcecie pracować, tacy ma-li? Skądże wam się ta ochota wzięła?

Wtedy chłopcy opowiedzieli, że mają matkę i że chcą zapracować, ażeby jej choć trochę przynieść ulgi. Bardzo podobała się nieznajomemu mowa chłopczyków i powiedział do nich:

— Kiedy tak, to się znajdzie i dla was robota. Weźcie te worki, co tam leżą, chodźcie po miasteczku od domu do domu i zbieraj-

cie rozmaite szmaty — nowe, stare, czyste czy brudne, a zapłacę wam tak, jak innym.

Uszczęśliwieni chłopcy skłonili się nieznajomemu i pobiegli do domu. Nie nikomu o tem nie powiedzieli, ale nazajutrz wstali bardzo wczesnie, pobrali kijki i poczęli zbierać różne kawałki płócienne lub bawełniane po podwórkach i przed domami. Kiedy worek był już pełen, odnieśli go do fabryki. Tam zabrano szmaty i zachęcano, żeby jeszcze więcej zbierali i przynosili.

Chłopcy po raz drugi ruszyli na poszukiwanie szmat, a kiedy przynieśli drugi worek, ten sam nieznajomy, którego spotkali przy fabryce, zważył na wadze szmaty i zapłacił za nie.

Wacek i Stach nie wiedzieli, ile im zapłacono, bo nigdy nie mieli pieniędzy i dlatego ich nie znali. Pobiegli więc do domu, pocałowali matkę w rękę, położyli na stole pierwszy swój zarobek, opowiedzieli, jak się to stało i prosili, ażeby matka choć dzień jeden wypoczęła.

— Dziękuję wam, dzieci kochane.

Matka była bardzo szczęśliwa, że ją tak dzieci kochają i żalują, a drugiego dnia nie wzięła się do prania, lecz poszła ze swemi synkami do ogródka.

Jakaż to była radość dla chłopców; nigdy jeszcze nie było im tak wesoło! Zdawało się, że i słonko tego dnia jaśniej świeciło i kwiatki ładniej kwitły, a wietrzyk przyjemniej powiewał.

— Matusiu — pytał Stach — myślę i myślę, a nie mogę się domyśleć, na co temu panu te gałgany? czy on z nich szyje ubranie?

— Nie, bierze je do fabryki i tam robią z nich papier.

— Jakto! z tych gałganów robi się pa-

pier? To rzecz ciekawa. Chciałbym to zobaczyć.

— Jak kiedy pójdę do fabryki — rzekła matka — to poproszę wuja, który tam pracuje, żeby wam pokazał, jak to się robi.

Co kochać?

Co masz kochać, pytasz, dziecko,
Co dla serca jest drogiego?
Kochaj Boga, bo na świecie.
Nie nie stało się bez Niego.

Kochaj ojca, matkę swoją,
Módl się za nich co dzień z rana,
Bo przy tobie oni stoją,
Niby straż, od Boga dana.

Do ojczyzny po rodzinie
Wzbudź najczystszy żar miłości:
Boś się zrodził w tej krainie
I tu złożysz swoje kości.

W czyjem sercu miłość tleje,
A nie toczy go zgnilizna,
W tego duszy wciąż jaśniej: —
Bóg, rodzina i ojczyzna!

Władysław Bełza.

Marzenie chłopca.

Gdyby stanął tu przede mną
Siwy konik mój,
Piękną dałbym mu uzdeczkę
I z czapraka strój.

Zgrabnie siodło wyszywane
I strzemiona dwa,

I podkówki z mocnej stali
Bo stal długo trwa.

I na konia wsiadlbym gracko
I pojechał w świat,
I zwiedziłbym za górami
Wielki ziemi szmat.

Poznał kraje, obyczaje
Wiele siól i miast,
Potem wrócił na swym koniu
Do rodzinnych gniazd.

Co widziałbym tam dobrego,
Powiedziałbym rad,
I słuchaliby wieśniacy
Z niziuteńkich chat.

A przywiózłbym dla każdego
Jaki piękny dar:
Dla matusi szal ciepłutki,
Bo stary się zdarł.

Ojcu strzelbę, bratu książkę,
Bo czytaniu rad.
Dla Anielki barwną wstążkę
I zamorski kwiat.

Maciejowi tabakierkę,
Magdzie chustki dwie,
Babci obraz Matki Bożej
Na złocistem tle.

Baśń o dobrej sierocie, złej pani i o dwunastu miesiącach.

Biedna sierotka raz była sobie — już jej
rodzice spoczęli w grobie, a zła jej pani ze

swoją córką każą sierocie zmiatać podwórko, czyścić oborę i myć podłogi, wciąż napędzając do pracy srogiej.

A była ona, choć nieszczęśliwa, taka pobożna, taka poczciwa, że ją wśród wioski wszyscy kochali, wszyscy kochali i żalowali.

Raz w czasie zimy mroźnej, surowej, kiedy na polu spadł śnieg grudniowy, córka tej pani rzecze do matki:

— Ach, moja mamó, tak lubię kwiatki! Tak lubię kwiatki, fijołki świeże, straszna mnie chęćka wachać je bierze, muszę koniecznie mieć te kwiateczki. Daj mi choć jeden, proszę mateczki.

Na to mateczka z obliczem jęczy, biednej sierocie gada czempredzej:

— Biegnij do lasu fijołki zbierać, a lepiej tobie w boru umierać, niżli powracać w tej chaty progi bez kwiatów dla mej córuchy drogiej.

— Fijołki w grudniu, myśli niebożę, a któż je teraz odszukać może?

Lecz trudna rada, iść prędko trzeba; więc wzięło dziewczę kawalek chleba i, szepcząc pacierz z cichemi łzami, do blizkiej puszczy idzie śniegami.

Patrzy — na skraju ogień się pali... dwunastu ludzi siedzi w oddali. Więc dziewczę grzecznie podchodzi blizko, dwunastu panom kłania się nisko, a że przeziębła biedna dziewczeczka, więc chce się w ciepłe ogrzać troszczka. Siadła przy ogniu i płacze rzewnie.

— Tyś, biedne dziewczę, zbłądziła pewnie, pyta najstarszy z siwiutką brodą, gładząc po głowce sierotkę młodą.

— O, nie — odpowie i zapłakała — moja mi pani iść tu kazała, szukać fijołków w tym

ciemnym borze, a nikt ich przecie znaleźć nie może.

— Hej! bracie kwietniu — staruszek rze-
cze — spraw, niechaj ciepłe słonko zapieczę,
pomóż dziewczynie prześladowanej. Wszak
to w twej mocy, kwietniu, kochany.

I wstał młodzieniec i skinał dłonią —
wnet się na niebie chmury przegonią, wyziera
lazur, słonko dogrzewa, młodymi listki stroją
się drzewa, a pośródki trawki, co szybko ro-
śnie, pachną fijołki, jakby o wiośnie.

Skoczyło dziewczę rozradowane, zrywa
pośpiesznie kwiatki wiośniane, a gdy już bu-
kiet duży zerwała, dwunastu braciom po-
dziękowała, wdzięczności pełna, łzami zro-
szona, poszła do domu uszczęśliwiona.

Czekają w oknie zła pani z córką; aż tu
sierotka wchodzi w podwórko, świeżych fijoł-
ków, zerwanych w lesie, prześliczny bukiet
w dwu rękach niesie. Złe sekutnice bukiet za-
brały, dobrego słowa nawet nie dały, jednego
kwiatka nie zostawiły i nową potem rzecz ob-
myśliły.

— Dostyc już kwiatków — zła pani po-
wie — mnie co innego, niż kwiatki w głowie,
na poziomeczki chętko mnie bierze, ruszaj i
przynieś, lecz tylko świeże.

Biedna dziewczyna rączęta składa, mó-
wi, że późno, że noc zapada... wilki się włoczą
gromadą srogą, jeszcze ją w lesie rozszarpać
mogą.

Nic nie pomaga, próżne błaganie, znów
gospodyni z chaty wygania. Więc idzie dziew-
czę — już puszcza blizka, już widać jasny
płomień ogniska, dwunastu siedzi przy ogniu
owym, co blaskiem wokół lśni purpurowym.

Więc znów jak wprzód, dziewczę pod-

chodzi i znów ją pyta dawny dobrodziej, a gdy usłyszał, w czym teraz sprawa...

— Wstań! — rzeknie — czerwcu, i czerwec wstawa. — Spełnij jej prośbę!

I w owej chwili zatrzepotała zgraja motyli. Slonko gorące sieje promienie, ptaków się słodkie rozlega pienie, a pośród trawy — świeżych, dojrzałych, widać poziomek moc doskonałych. Pełny koszycek dziewczę zebrało, znów opiekunom podziękowało, szczęście jej dziwnie myśli wyzlaca, uszczęśliwiona do chaty wraca.

Matka i córka — wielce zdziwione — zjadły poziomki świeże, czerwone, sierotce nawet jednej nie dały i obie w szubach w las się wybrały.

— Toć to — gadają — dziw niesłychany, bór to jest chyba zaczarowany. Może w nim znajdziem drogie klejnoty, wory dukatów i zamek złoty.

Lecz ledwo obie weszły do boru, który już tonął w mrokach wieczoru, ledwo je spostrzegł grudzień sędziwy, skinął i nagle wstał wiatr straszliwy, zmroził obydwie, krew w lód im zmienił, śnieżną zadymką księżyc ocienił, zbłąkał je w lesie, rzucił zmartwiałe na zimne śniegi, na śniegi białe. A potem wilków zwołał gromady do niespodzianej sutej biesiady.

A sieroteńka sama została, wnet pomoc dobrych ludzi zyskała i żyła długo zdrowa, szczęśliwa, zawsze pobożna, zawsze pocziwa.

Postrzyżyny u Piasta.

W pośród Kruświcy spokojnych wieśniaków
Żył Piast, co bogów i ludzi miłował,
A Pan wszechmocny dla dobra Polaków
Do wielkich celów ród jego gotował.

Dom Piasta szczupły, ale zewsząd czysty;
Za Goplem małą pasiekę posiadał;
Cienił lepiankę jawor wiekuisty,
A na nim bocian gniazdo swe zakładał.

Znaną sąsiadom była naokoło
I dobroć Piasta, i gościnna hojność;
Znajdował (lemiesz prowadząc wesolo)
W pracy swą żywność, w sumieniu spokojność.

Dzień nadszedł miły dla skromnej rodziny,
W którym, jak pogan prawo nakazało,
Pierworodnego syna postrzyżyny
Obchodzić miano przez ucztę wspaniałą.

Hoża Rzepicha i nasz Piast sędziwy
Od rana całym trudnią się obchodem,
Stół zastawiając tłustemi mięsowy
I duże czary napelniają miodem.

W gronie przyjaciół zaczęły się gody;
Pierwszymi dary już uczczono bogi,
Gdy dwóch młodzieńców precudnej urody
Wchodzi w gościnne biesiadników progi.

Piast i Rzepicha z czołem nachylonem
Proszą, by miejsca chcieli zasiąść swoje;
Lud się gromadzi, a z tłumem zwiększonym
Mnożą się pokarm i słodkie napoje.

Po uczcie świetni zniknęli młodzieńcy,
A lud zgodnymi zawołał głosami:
„Piast miły bogom! pocóż czekać więcej!
Niech będzie królem, rządzi Polakami.“

Święty Kazimierz.

Na zamku wawelskim w obszernej komnacie siedziała królowa, snując na hebano-

wym, złotem nabijanym kołowrotku cieniuchną, lnianą przędzę. Przerывała niekiedy swą pracę, by spojrzeć z miłością na gromadkę dzieci, bawiących się w przeciwnym rogu komnaty. Chciały one wciągnąć do swej zabawy bladego, anielskiej piękności braciszka.

— Zostawcie mnie w spokoju — prosił łagodnie — wszak wam nie przeszkadzam w niczem?

— Ale siedzisz samotnie zdala i tem nas zasmucasz — rzekła dwunastoletnia dziewczka.

— Cóż ty ukrywasz przed nami? Pokaż — wołała młodsza siostra, chwytając za rękę opierającego się brata i usiłując otworzyć zacisnione na piersiach ręce chłopięcia.

— Wstydz się swej ciekawości, Elźbięto, czy nie wiesz, że Kazimierz schował różaniec, na którym podczas zabaw waszych pobożnie odmawiał pacierze — rzekł stawając w obronie uciśnionego młodzieniaszek, zwany Zygmuntem.

— Nie przeszkadzajcie mu i sami zajmijcie się jaką użyteczną pracą — dodała matka, spoglądając tkliwie na bladego chlopczynę i wyciągając ku niemu ręce.

Kazimierz szybko pobiegł ją uściskać, rzuciwszy wpierw pełne wdzięczności wejrzenie na brata.

Podczas gdy dzieci zachmurzone, że się nie stało zadość ich żądaniu, stały jeszcze na środku komnaty, uchylily się ciężkie drzwi dębowe i wszedł mąż wspaniałej postawy, a za nim poważny kanonik krakowski. Zatrzymali się obaj w progu, bacznie spoglądając dokola. Obie siostry stanęły obok matki i Kazimierza, bracia zaś posunęli się do porzuconej w oknie sieci, którą przedtem wiazali.

— Dobrze, że porzucacie płochę zabawy wasze — ozwał się nowo przybyły, bo właśnie nadszedł czas, w którym musicie rozstać się z niemi na zawsze. Oto wielbny kanonik Jan Długosz, którego uprosilem na mistrza synom naszym — dodał, wskazując na księdza.

Ową rodziną była królewska rodzina Jagiellonów. Znajdowali się wtedy połączeni w jednej komnacie: panujący wówczas w Polsce Kazimierz Jagiellończyk, Elżbieta Austryaczka, jego małżonka, i córki ich: Zofia i Elżbieta, oraz synowie: Władysław, przyszyły król węgierski, Olbracht, Aleksander i Zygmunt, późniejsi królowie polscy, Fryderyk, przyszyły kardynał i arcybiskup gnieźnieński, i wreszcie ów od dzieciństwa świątobliwy Kazimierz, który stał się chlubą narodu.

Nie mieszal się on nigdy do zatrudnień dworskich, lecz czas wolny od nauki przepędzał zdala od ludzi na pobożnem rozmyślaniu lub modlitwie. Kochając bardzo Matkę Bożą, układał na jej cześć pieśni, z których jedna tak się zaczyna:

Co dzień w niebo niech bije!
Już od rana
Rozśpiewana
Chwał, o duszo, Maryję!
Cześć Jej świątkom,
Cześć pamiątkom,

Miłosierdzie i pobożność królewicza Kazimierza były niezmierne.

Trafiło się pewnego razu, że mistrz Długosz, zaszedłszy późno wieczorem do komnaty swych uczniów, zastał łóżko Kazimierza nie-
tknięte. Zrobił się wtedy rozruch wieki na zamku; szukano wszędzie królewicza, znale-
ziono go w końcu u drzwi kaplicy zamkowej,

tak zatopionego w modlitwie, że nie słyszał nadchodzących.

Skoro powrócił do komnaty, Długosz strofował go łagodnie:

— Źle czynisz, mój synu, że nie baczysz na zdrowie. Wczoraj król przyjął gości, uwiadamiających go, że brat twój, Władysław, otrzymał koronę czeską, ty więc jesteś teraz następcą tronu polskiego, jako najstarszy z kolei.

— O! nie mów mi tego, mistrzu — odparł Kazimierz. — Daj Boże, aby mój pan i dobrodziej, mój ojciec, jak najdłuższe lata szczęśliwie królował; niech ja pierwej umrę, abym na śmierć jego nie patrzył.

Wkrótce potem zachorował Kazimierz; przepowiedział dzień i godzinę swej śmierci, i gdy nadeszła, oddał ducha Bogu, przyciskając do ust wizerunek Chrystusa.

Kościół katolicki uznał go za świętego, a Litwa obrała go za swego patrona.

Julian Bartoszewicz.

Floryan Szary.

Skoro Krzyżacy dokuczyli już nadto Polakom, musiał się z nimi król Władysław Łokietek orężem rozprawić. Stoczono bitwę pod Płowcami, i Krzyżacy zostali na głowę pobici.

Nazajutrz po bitwie król, objeżdżając pojowisko, ujrzał okrutnie rannego rycerza, który, przekłuty oszczepem, leżał na ziemi.

Władysław Łokietek, stanąwszy przed nim, rzekł:

— Ten biedak musi wielką mękę cierpieć!

— Miłościwy królu — odpowiedział rycerz — ten ból chętnie znoszę, bo ranę tę odniosłem w obronie milej ojezyny. Lecz wię-

cej cierpieć muszę na wsi u siebie od złego sąsiada, który mi ustawicznie dokucza.

— Nie frasuj się — odrzekł król — uwolnię cię od złego sąsiada, jeżeli żyw zostaniesz.

Potem Łokietek rozkazał rannego podnieść, umieścić w królewskim namiocie i rany jego pilnie opatrywać.

Floryan Szary (bo tak się nazywał ów rycerz) wyzdrowiał szczęśliwie; wtedy król kupił wieś złego sąsiada i Floryanowi ją darował.

Potomkiem dzielnego Floryana Szarego był mądry i waleczny Jan Zamojski, przyjaciel i doradca króla Stefana Batorego.

Na zmartwychwstanie Pańskie

Biją dzwony, a radośnie
Serce w nich kołata.
One dzwonią: „Alleluja!
Zmartwychwstał Pan świata!“

One dzwonią: — „Chodź, człowiecze.
Do świątyni Pana,
Uchyl czoła, a wznies serce,
Padłszy na kolana.

Złóż swe troski, złóż swe żale
U Bożego tronu,
Nie zagłuszaj jękiem serca
Radosnego dzwonu.

Nie zasępiaj smutkiem duszy
Dnia tak wesołego,
I otuchę i nadzieję
Wpuść do serca swego.

Bo czyż nie wiesz, że na ziem
Zawsze tak się plecie:
Płacz ze śmiechem, ból z weselem
I z cierniami kwiecie?

Że twój pobyt na tym świecie
Przelotny i krótki,
Że nietrwale ani wieczne
Radości i smutki.

Więc się nie martw, mile dziecię,
Dzwon dzisiaj wydzwania,
Że nadejdzie i dla ciebie
Chwila zmartwychwstania.

Wróbel.

Wróbel to ptak bardzo przezorny. Jeżeli jest pewien, że go nie złego nie spotka, przyswaja się łatwo, ale raz zdradzony, ucieka i już nie wraca. Wróble często staczają z sobą walki. Zapominają wtedy o wrodzonej ostrożności i biją się wśród ludzi. Czasem 4 i 5 wróbli, związawszy się w kłębek dziobami i pazurami, przewracają koziolki i tarzają się w kurzu i błocie. Można je wtedy kijem zabić, a nie puszcza się ani na chwilę.

Na dachu pewnego domu były się raz dwa wróble; dziobiąc się wzajemnie, spadły przez rynnę na ziemię, nie puściwszy się ani na chwilę w tej zajadłej walce.

Już w marcu, gdy jest niezbyt mroźno, wróble poczynają znosić materiały do budowy gniazda: siano, pierze i suche korzonki. Posłanie musi być wygodne i ciepłe, gniazdo więc ścielą pod strzechami, w dziuplach drzew lub w jaskółczych klejonych gniazdach.



Dożynki. Str. 50.



Słoń. Str. 62.

Gdy gniazdo gotowe, wróblca znosi 6 do 7 jaj. Po kilkunastu dniach wykluwają się piskleta, którym rodzice przynoszą tysiące liшек i robaczków.

Skoro jednak dziatwa wyrośnie już i nauczy się sama szukać pożywienia, rodzice wypędzają ją od siebie. Potem znowu czyszcza gniazdo i składają jajka. Tak bywa zwykle trzy, cztery razy do roku.

Zarłoczność wróbli jest bez granic. Na wiosnę szukają gąsienic i poczwarek lub ziarn zboża, później grządek z jarzynami. Prócz tego — łowią w lot owady, objadają wiśnie i czereśnie, a w końcu idą na zboże, napelnione jeszcze mleczkiem. Ojciec wyprowadza dziatwę na łan pszenicy lub jęczmienia, uczy zreżcznie na kłos siadać lub przyginać źdźbła do ziemi i wydobywać miękkie ziarenka, w ten sposób wyrządzają wróble wielkie szkody. Gdy zboże stwardnieje, wróble znowu zaczynają polować na owady.

Wieczór w lesie.

Cichy las, cichy las,
W ten jesienny miły czas!
Jasny księżyc niebem płynie
Wiewióreczka na drzewinie
Siedzi sobie, duma sobie,
W górę trzyma łapki obie,
A nie widzi nas!

Cichy bór, cichy bór!
Już umilknął ptasząt chór,
Już sarenka drzemie mała,
Już i trawka zadrzemiała,
Dąb staruszek lasu strzeże,
Strumyk szepce swe pacierz,
Płynąc kędyś z gór.

Dożynki.

Jak te wakacye lecą! jak one nieźnośnie prędko lecą! Tylko co na polach panował ruch, żniwo, zwózka, aż tu i nadszedł koniec pracy — i dożynki.

Od rana tego dnia w dworku ruch panował niezwykle. Robiono kielbasy, zarznięto barana, w kotłach gotowano barszcz i kartofle. Kupiec przywiózł z miasteczka dwa antalki piwa i garniec okowity. Na wieczór zamówiona była muzyka ze skrzypiec, basetli i bębna. Słowem — szykowała się zabawa, co się zowie! Pan Grzybowski znany był z tego, że pracy wymagał rzetelnej, ale też rzetelnie płacił i nie żałował na wyprawienie od czasu do czasu zabawy ludziom, z których rąk, jak mówił, żyje. Cały dom był w ruchu. My, chłopcy, nie poszliśmy nawet na polowanie, lecz kręciliśmy się po kuchni, za co w końcu zostaliśmy przepędzeni przez gniewną kucharkę.

Nadszedł wieczór, śliczny, ciepły; żadna chmurka nie zasłaniała nieba, jaśniejącego żywą purpurą zachodu. W miłym oczekiwaniu staliśmy wszyscy na ganku. Na dziedzińcu, przed domem, rozstawione były dwa stoły, białymi obrusami nakryte: na nich miski i łyżki, flaszki z wódką, dzbany i kubki do piwa. Koło klombu, pod lipą, umieszczony był na stołku antalek, przy którym stał ogrodniczek, mający spełniać czynność podczaszego. Nareszcie od pola doleciały dźwięki mu-

...i melodyjny głos zbiorowej pieśni:

„Niech-no jegomość wyjrzy w pole:

„Już się oziminka nie chwieje;

Nie chwieje się oziminka, ani jareczka;

Sprzątnęliśmy co do ziarneczka.

Plon niesiem, plon,

W jegomości dom!
Bodaj zdrowo plonowała,
Po sto korecy kopa dała!
Plon niesiem, plon!”

Wybiegliśmy z Tadzkiem i dziewczętami
aż poza wrota; patrzymy: drogą idzie tłum
źniwiarzy, jak procesya. Na przodzie dwie
dziewczyny, przodownice, przybrane w wiel-
kie wieńce, uwite — jeden z pszenicy, drugi
z żyta, przystrojone kwiatami, kaliną, jarzę-
biną i wstążkami. Kobiety z sierpami, męż-
czyźni z kosami i grabiami w rękę.
Zatrzymali się przed bramą i zaśpiewali:

„Otwórz nam, panie, nowe wierzeje,
Bo się na polu już kłos nie chwieje.
Plon niesiem, plon!

Otwieraj, panie, szerokie wrota;
Niesiem wianeczki z szczerego złota.
Plon niesiem, plon!

Otwieraj, panie, swój nowy dwór,
Bo ci niesiemy twój cały zbiór.
Plon niesiem, plon!

Wynijdźże, panie, na ten ganeczek,
Przyjmijże od nas z plonu wianeczek.
Plon niesiem, plon!

Wynijdźże, panie, z całą drużyną,
Przyjmijże od nas wianek z kaliną.
Plon niesiem, plon!

Spiewając, zaszli przed ganek. Już też
i pan Grabowski poklonił się wszystkim, wian-
ki przyjął, jeden sobie na głowę włożył, dru-
gi żonie, a obchodząc kolejno źniwiarzy, dzie-
kował im za sumienną pracę i zapraszał do za-
bawy.

Znowu odezwała się muzyka na wesołą
nutę żartobliwej pieśni, którą jeszcze zaśpie-
wali źniwiarze:

„A na łące wielka rosa...

Nasz ekonom niby osa!

Plon niesiem, plon!

Nasz polowy kiej pokrzywa.

Z ludzi tylko se pokpiwa!

Plon niesiem, plon!

Nasza jejmość kiej lilija,

Po pokoju się uwija!

Plon niesiem, plon!

Wypraw nam, panie, sute określne,

Bo ci niesiemy dary potężne!

Plon niesiem, plon!

Pan Grzybowski chodził pomiędzy żniwiarzami, częstując ich kolejką. Poczem zaprosił wszystkich do stołów, gdzie stały misy z dymiącem się mięsiwem.

Przepili, zjedli, co było, i dalej w tany. Rzępolili skrzypki, huczala basetla: du—du—du! du—du—du! Pan Grzybowski poszedł tańczyć z przodownicą; któryś parobczak uprosił w tany Zosię; my z Tadzkiem też zaczęliśmy wywijać to polkę, to oberka. Starsi hulali sobie, a mała dziatwa, zebrawszy się niemal z całej wsi, kręciła się na boku, dodając jeszcze więcej ruchu i weselości.

Trwała ta zabawa prawie do północy; nam tak się to podobało, że już wszyscy się porozchodzili, a ja, Tadek i dwóch ogrodników jeszcze wybijałiśmy holubce.

Wiochna

Już słoneczko powstało

i przegląda się w rzece;

Oj, na rosę, na białą,

Polecęz ja, polecę!

Jak to z brzozy płaczącej,

Co wyrosła nad rzeką,

Krople rosy świecącej
Zwieszają się i cieką.
Jakie jasne obłoki
Na niebieskim przestworze,
Jakie czyste potoki,
O mój Boże! mój Boże!...
Jaskółeczka przed bramą
Wciąż uwija się w kółko;
Ja nie jestem jaskółką,
A potrafię tak samo.
Teraz matki się boją,
Lecz niech ogień rozniecę,
Niechno krówki wydoję,
Poleczę ja, poleczę!...

Karol Chodkiewicz.

Dla uczniów wileńskiego kolegium uroczysty był dzień, w którym król polski, Stefan Batory, w towarzystwie Jana Zamojskiego i innych panów, przybywał w mury szkolne, ażeby obecnością swoją zachęcić młodzież do nauk i pilności.

Uprzejmie i łagodnie rozmawiał Batory z młodzieńcami, z rysów twarzy, z wyrazu oczu starając się odgadnąć ich charakter i zdolności.

W ten sposób przechodząc między szeregami, zatrzymał się Batory przed młodzieńcem, którego otwarte oblicze i wysokie czoło wskazywały niepospolity umysł. W chwili, kiedy się król zbliżył, młodzieniec skłonił się z uszanowaniem, a występując na środek, w imieniu kolegium powitał monarchę piękną, łacińską przemową. Batory z uwagą przysлуchiwał się dźwięcznemu głosowi mówcy, potakiwał od czasu do czasu, potem z ojcowską poufałością, opierając rękę na jego ramieniu, rzekł:

— Jak się nazywasz, chłopcze?

— Karol Chodkiewicz — odpowiedział młodzian.

— Podobaleś się nam — mówił dalej Batory — ucz się, bądź pilnym, a zrobimy cię człowiekiem.

Chłopiec z żywym uczuciem po kilkakroć ucałował podaną mu rękę monarchy.

— Bądź zdrow — dodał, oddalając się król — a pamiętaj o radzie naszej.

Kiedy zaś o tyle odsunął się od Chodkiewicza, iż ten go słyseć nie mógł, rzekł do Zamajskiego:

— Zobaczysz, hetmanie, że ten chłopiec kiedyś będzie znakomitym mężem i wielkim rycerzem.

Spełniły się przeczucia Stefana Batorego. Karol Chodkiewicz po opuszczeniu kolegium, odznaczając się ciągle bystrością umysłu i odwagą, wkrótce przebiegł niższe stopnie wojskowe i mianowany został starostą żmudzkiem. W roku 1605 Chodkiewicz, już jako hetman litewski, pokonał króla szwedzkiego, Karola. Kiedy zaś wkrótce Szwedzi oblegli Rygę, miasto leżące w Inflantach, Chodkiewicz spiesząc na odsiecz miastu, tylko z czterema tysiącami rycerstwa, spotkał pod Kirchholmem nad Dźwiną nieprzyjaciela, liczącego osiemnaście tysięcy żołnierzy.

Nie uląkł się Chodkiewicz, rozpoczął bitwę ze Szwedami i tak dzielnie ją prowadził, że dziesięć tysięcy nieprzyjaciół legło na placu, reszta zaś z królem Karolem uciekła.

Wielki ten mąż i dzielny wojownik umarł w 1621 roku. Ojczyzna przywdziała po nim żalobę, a o zwycięstwie pod Kirchholmem długo w całym narodzie śpiewano pieśni.

Orzechy.

„Dalej, śmieszki, na orzeszki
Dalej, razem w las,
Już leszczyna się ugią,
Woła, woła nas.

My, leszczyno, ci ulżymy,
W to nam graj, w to nam graj!
Wnet orzeszkom poradzimy,
Tylko nam je daj!”

Konopnicka.

Prośba nie zostaje bez skutku, bo krzew leszczynowy rośnie u nas wszędzie po lasach i ogrodach i co jesień okrywa się bujnie orzechami laskowymi. Smaczne te orzechy, jeżeli leżą za długo, wysychają i jeleżą z powodu zawartego w nich oleju. Oleju, wytłoczonego z orzechów, używa się przeważnie do farb, gdyż prędko wysycha.

Jądra orzechów laskowych, przyprażone, a później utłuczone i zmieszane z cukrem, tworzą coś podobnego do czekolady, z której można przyrządzić dość smaczny napój.

Tak zwane orzechy tureckie podobne są do laskowych, tylko większe. Dostarcza ich leszczyna, rosnąca na południu Europy, jeżeli zaś ten gatunek hodujemy u nas, to owoców nie wydaje.

Ale za to mamy orzechy włoskie. Nazwa pochodzi stąd, że zostały sprowadzone do nas z Włoch; tureckie znowu dostały się przez Turków.

Z grubej zielonej skórki, pokrywającej orzechy włoskie, wyrabiają piękną i trwałą ciemno-brunatną farbę, z jąder wytłacza się smaczny, lecz szybko jeleżący olej; napar z wysuszonych liści służy jako lekarstwo.

W sklepach sprzedają także trójgraniaste amerykańskie orzechy. Drzewa, które ich dostarczają, rosną w Ameryce. Owoc jest wielkości głowy ludzkiej. Gdy dojrzeje zupełnie, wysypuje się z niego 20—30 tych orzechów.

Właściwie więc są to ogromne nasiona

Pacierz dzieci.

Gdy się modlą drobne dzieci,
Jasno robi się na ziemi,
Słońko cudnie wtędy świeci,
Nad polami, nad naszemi.

Gaje biorą zieleń młodą,
Róztula róża swe paki,
A poranna się pogoda
Śmieją zboża, śmieją łąki

Milkną echa burz i gromu;
Gdy się modlą drobne dzieci,
Białem skrzydłem spokój leci
Na milego strzechę domu.

Z traw zroszonych Iza obsycha,
Brzmia piosenki skowronkowe,
Cała wioska stoi cicha,
Skrzyta w wierzby przez połowę,

Gdy się modlą dzieci małe,
To na starym gdzieś kurhanie
Wyrastają lilje białe
I anielskie słyhać granie.

To się krzyże po rozłogach
Odziewają w blaski zorzy,
To po miedzach i po drogach
Chodzi smętny Anioł Boży.

I niejedna pustka głucha
W sercu ludzkim się zakwieci.
I sam Bóg tej ziemi słucho,
Gdy się modlą małe dzieci.

Jak ludzie nauczyli się pisać?

Dziś, gdy kto wiąże supełek na chustce, ani się domyśla, że podobne supełki, wiązane na sznurkach, stanowiły dawniej pismo. Pewien uczony przekonał się, że w kraju Peru, w Ameryce, za dawnych czasów ludzie układali całe historye z podobnych węzłków. Znalazł on tam splot sznurków, a na każdym co raz to inaczej wiązane supełki. Jedne sznurki były koloru czerwonego, inne zielonego, białe, a każdy sznurek i każdy supełek miał swoje znaczenie. I tak: czerwone oznaczały wojnę, zielone — żniwa; sznurki, dwa razy wiązane, oznaczały mężczyzn, inne — kobiety i dzieci. Z takich sznurków czytali dawniej dzieci, jak my dziś z książki, a nawet i teraz są jeszcze w Australii plemiona, które w ten sposób zapisują zdarzenia.

U innych znów narodów znane były całkiem odmienne znaki.

Na bardzo starych pomnikach w Ameryce, Afryce i Azji znaleziono rozmaite rysunki, wyrżnięte niezgrabnie na kamieniach. Rysunki te przedstawiały zwierzęta, ptaki, broń, ludzi i różne przedmioty. Zaczęto odgadywać, coby one mogły znaczyć, i w końcu przekonali się uczeni, że te rysunki są także próbą pisma ludzkiego, które już było znacznie lepsze od supełkowego, bo supełki wymagały wielkiej pamięci, a każdy rysunek mówił już sam za siebie. I tak: na jednym ze znalezionych pomników narysowany jest jelen, przewrócony

do góry nogami; to miało oznaczać, że tu pochowany jest człowiek, nazwiskiem Jeleń. Pod nim jest głowa jelenia, co znaczy, że zmarły był dobrym myśliwym. Dalej różne ozdoby i toporek: to miało oznaczać, że Jeleń zasiadał w radzie swojego plemienia. Dziewięć kresek z prawej strony oznaczają liczbę wojen, w których zmarły brał udział.

Wiele narodów używało takiego obrazkowego pisma, ale najbardziej zasłynęli z niego Egipcyanie, ci sami, o których opowiada Stary Testament.

Pismo to swoje nazywali Egipcyanie hieroglifami, a każdy znak oznaczał wyraz, albo też część jakiego wyrazu. Jeżeli na przykład na rysunku było zrobione niebo, a później rak, możnaby ułożyć z tego słowo: nieborak. Egipcyanie mieli 900 takich rysunków, czyli znaków; pismo to więc było trudne i stąd niedogodne.

Niedaleko Egipcyan żył inny naród — Fenicyanie. Kupcy fenicy często odwiedzali Egipt, poznali tam hieroglify i przerobili je do swego użytku. Fenicyanie pierwsi zauważyli, że w mowie jest niewiele stosunkowo dźwięków i że te same dźwięki powtarzają się w rozmaitych wyrazach. Przyszli więc do tego wniosku, że najlepiej pismo, to jest znaki, obmyślić według pojedynczych dźwięków. Zliczyli więc, ile sami różnych dźwięków wymawiają, i oznaczyli każdy dźwięk osobnym znakiem. Z tych znaków, wyrażających na piśmie dźwięki mowy ludzkiej, powstało abecadło.

Od Fenicyan wzięli abecadło Grecy, a znowu łacińskie abecadło powstało z greckiego.

Nasze abecadło ułożone jest na wzór łacińskiego; dodano do niego tylko rozmaite

dźwięki, których nie ma język łaciński, a które są właściwe językowi polskiemu.

Zacząto pisać na ziemi polskiej z wprowadzeniem chrześcijaństwa za Mieczysława I-go.

O szkle.

Przed paru tysiącami lat w Azji Mniejszej, nad brzegiem morza Śródziemnego, mieszkał naród kupiecki — Fenicyanie. Rozwizili oni towary po świecie całym z jednego kraju do drugiego.

Pewnego razu statek fenicki, naładowany sodą*), przybił do jakiegoś piaszczystego brzegu; żeglarze wnet rozpalili ognisko na piasku i wypadkiem rozsypali trochę sody na płonące żarzewie. Po wygaśnięciu ogniska ze zdumieniem znaleźli tam jakąś twardą, a kruchą i przejrzystą masę. Było to szkło.

Co w tej opowieści jest prawdą, a co zmyśleniem? Nikt na to pytanie odpowiedzieć nie może. Pewne jest tylko, że szkło od dawna było znane i że wynalazek jego przypisują Fenicyanom.

Z początku jednak szkło było tak kosztowne, że tylko bogacze mogli sobie pozwolić na kupno szklanych kielichów i dzbanów. Dziś i w najuboższej chacie wprawiają w okna szyby. Dawnymi czasy było inaczej. Nawet w dworach zamożnych panów zaciągano okna błoną rybią, skórą zwierzęcą, nasiąkniętą tłustością, lub po prostu zamykano przed deszczem i chłodem zasuwami drewnianymi.

Kiedy król polski, Kazimierz Sprawiedliwy, przygotowywał w zamku sandomierskim

*) Soda — minerał, wydobywany z popiołów roślin morskich.

mieszkanie dla swej żony, Heleny, kazał w niektóre okna wstawić szyby szklane. Uważano to wówczas za wielki zbytek i osobliwość.

Jałmużna myśli.

Mój Piotrusiu! Nie mam grosza,
Bom i mały i ubogi.
Ale siądźmy sobie razem.
Na tym wzgórk, koło drogi!
Ja, z książeczki mojej nowej
Przeczytam ci powieść sławną,
Sławną powieść o tych czasach,
Co minęły, przeszły dawno!
Pokażę ci na obrazku
Takich mężów i rycerzy,
Aż ci w główkę najdzie blasku,
Aż serduszko ci uderzy!
Opowiem ci różne rzeczy,
O tych polach, o tem niebie,
O tych naszych żytnich kłosach,
Co tu rosną wedle ciebie.
Opowiem ci o tych lasach,
Co na straży, szumiąc, stoją,
O tych rzekach, modrych, bystrych,
Co nam łąki nasze poją,
Potem sobie zaśpiewamy,
Aż głos pójdzie na pół mili!
I będzie nam w sercu błogo,
Ześmy taki dzień przeżyli!

Szarotka.

Baśń tatrzańska.

Dawno już bardzo, tak dawno, że tego nikt z żyjących nie pamięta, w Zakopanem, na stoku jednej z gór, w szalasię z chróstu i zielonych gałęzi uplecionym, żyła sobie z ro-

dzicami mała góralka. A niepodobna była do żadnej z rówieśnic: twarzyczkę miała bielutką, niby mleko owiec, włosy jasne, jak złoto, oczy błękitne.

Dobrze było dziecinie wśród swoich. Spiewała i szczebiotała dni całe, a uśmiech z jej ust nie znikał prawie. Aż przyszła taka smutna chwila, że dziewczynka straciła matkę; wprawdzie tatuś za to częściej tulił ją do piersi, wprawdzie pamiętał o niej i mył i czesał, jak to matusia robiła, ale jednakże dziewczynce było coraz smutniej...

Jednego dnia poszedł gdzieś tatuś i... nie wrócił więcej.

Dziewczynka usłyszała, jak mówiono, że, za kozicą goniąc, wpadł w przepaść, a ludzie dodawali, że mu już dobrze, bo jest razem z żoną.

Więc małe jej kochające serduszko zabiło z radości na myśl, że im obojgu „jest dobrze“, i nie zatroszczyło się na mgnienie oka o siebie.

Ścisnęło się dopiero wtedy, gdy górale zeszli w niziny szukać pracy, a ona została sama, wśród groźnie najeżonych skał, podobna do osieroconej, bezdomnej ptaszyny...

Plakała długo, długo gorzkimi łzami sieroty, wreszcie, przytulona do zrębu jakiejś skały, usnęła.

Ktoś zobaczył dziewczynkę; — zaniecono ją do chaty, dano kawałek owsianego placka, napojono ciepłym mlekiem i próbowano nawet zatrzymać pod dachem, ale daremnie. Zdawało się dziecinie, że między skałami, gdzie w przepaściach spoczywał jej tatuś, lepiej jej będzie, że on musi ją zabrać do siebie, tam na dno przepaści...

I wędrowało biedactwo od chaty do chaty, a ludzie nazywali ją krótko „sierotka“ i wspomagali, jak mogli. Potem ktoś zmienił

tę nazwę na bardzo podobną i z powodu szarego serdaczka, którym była odziana, mówili o niej: „szarotka“.

A małeństwo szarzało w istocie coraz bardziej. -Twarzyczka jej bladła, bladła, aż stała się biała -iby śniegi górskie, i tylko złote włoski oświecały ją, jakby promieniami słońca.

Jednego razu jakaś litościwa góralka, jedna z tych, które żywiły sierotkę, zauważyła, że od dawna nikt jej w pobliżu nie widział. Zaczęli więc jej szukać po chatach, po ścieżkach i wąwozach. Lecz napróżno — nigdzie i śladu nie znaleźli. Tylko w miejscu, gdzie najczęściej widywano dziewczynkę, u podnóża pokrytej śniegiem skały, zauważono coś do-tąd niezwykłego.

Z pod śniegowej osłonki wychylał się smutny, ale śliczny kwiatek. Główkę i listki miał jakby wykrojone z białego aksamitu czy futerka, rozjaśniały go złote pręciki, w owej chwili świecące srebrną gwiazdką szronu, jakby lżą zastygłą.

Górale odkryli głowy. Zrozumieli, że Pan Bóg ulitował się nad sierotką i, chcąc ulżyć jej doli, zamienił ją w kwiatek. I dlatego ludzie nazwali go „szarotką“.

Słoń

Słoń jest największem zwierzęciem lądowem. Głowę ma wielką, szyję krótką, tułów ogromny, spoczywający na wysokich, bardzo grubych prostych nogach, wyglądających jak słupy. Nogi słonia są pięciopalcowe, ko-pytkami zakończone; skóra bardzo gruba miejscami sfałdowana, pokryta rzadkim, sztywnym włosem.

Najciekawszą częścią tego olbrzymiego zwierzęcia jest długa, bardzo ruchoma trąba. Przy jej pomocy i znajdującego się na końcu, do palca podobnego wyrostka, może on wykonywać rozmaite czynności, a oswojony pokazywać nawet ciekawe sztuki. Otwiera np. trąbą zamki, podaje talerze, butelki, monetę, dzwoni, strzela i t. p. Na swobodzie zrywa nią trawę i kładzie do pyska, gdyż żywi się tylko roślinami.

Słoń bardzo chętnie się kąpie w płytkiej wodzie; na głębokiej — zręcznie pływa. Pozwala rozmaitym ptakom siadać na swoim grzbiecie i wybierać gnieźdzące się tam rośbactwo.

Przednich zębów nie ma wcale. Z górnej szczęki wystają dwa kły, z których każdy do 180 funtów ważyć może. Kły te wraz z trąbą stanowią jego broń. Z każdej strony szczęk ma po jednym zębie trzonowym. W miarę jak się przy zuci używa, wyrasta z tyłu nowy i, skoro resztką pierwszego wypada, nowy już jest gotów.

Słonie żyją w gęstych i wilgotnych lasach, w gorących okolicach Afryki i Azji; pierwsze są zwane afrykańskimi, a drugie, nieco większe — indyjskimi. Chodzą w stadach, którym najroztropniejsze zwierzę przewodniczy, i wyrządzają nieraz ogromne szkody w plantacjach trzciny cukrowej. Ludzie polują na nie dla kłów, dostarczających t. zw. kości słoniowej, albo też — aby je oswoić.

Oswojone słonie używane bywają do budowania dróg; noszą drzewo budulecowe, kamienie i inne ciężary. W wyprawach wojennych zaprzęgają je do armat. Jeżdżą także na nich, ustawiając nieraz na grzbiecie niewielki namiocik.

Słonie są tak rozumne, że nieraz im nawet małe dzieci do pilnowania powierzają, ale niektóre, pomimo oswojenia, umieją być złośliwe i do wielkich szkód przyczynić się mogą.

Nasz domek.

Naznosimy piasku, nazwozimy kamieni,
Zbudujemy domek z drzewkami do sieni,
Zbudujemy domek z jasnymi oknami.
Żeby złote słonko świeciło nad nami.

A nad naszym domkiem będzie dach słomiany,
Z pięknych żytnich snopków równo poszywany
A na dachu będzie gniazdo dla bociana,
Żeby nam klekotał od samego rana.

A w tym naszym domku będą białe ściany,
A na nich obrazek ślicznie malowany:
Jedzie rycerz, jedzie, brząka ostrogami,
Siostrzyczka go żegna, zalewa się łzami.

A przed naszym domkiem będą niskie progi,
Żeby do nas zaszedł ten dziaduś ubogi,
Żeby do nas zaszedł, przed kominkiem siadał,
O tych dawnych czasach dziwy rozpowiadał.

A za naszym domkiem będzie sad zielony,
Ślicznymi kwiatkami pięknie zasadzony,
A za sadem pole z żytem jak potrzeba,
Żeby żaden głodny nie odszedł bez chleba.



Baśń o dyable Rokicie. Str. 65.



Osiel i pies. Str. 71.

Baśń o dyable Rokicie i przebiegłym chłopie.

Był sobie dyabel psotny, Rokita, osoba znaczna i znakomita. W bagnach nad Narwią mieszkał od wieka, na utrapienie każdego czleka.

Złośliwe figle kmiotkom wciąż czynił, temu coś spsocił, temu zawinił, to się pod mostem ukrył wśród nocy, jęczy, narzeka, wzywa pomocy.

A gdy z jarmarku chłop wracający usłyszy zdala głos ten jęczący... gdy znijdzie z woza patrzeć, kto płacze, bies jednym susem na wózek skacze, popędza konie, gna je z kopyta, aż je ochwaci dyabel Rokita.

Raz idzie lasem dyabel Rokita i już ze złości zębami zgrzyta, bo dawno żadnej nie złowił duszy, więc mu Lucyfer naderwał uszy.

A gdy tak idzie, patrzy, chłop siedzi, pewnie z myślami srodze się biedzi.

— Co ci to, czlecze — Rokita rzeknie — tak się rozszlochać wcale nie pięknie. Powiedz mi szczerze o trosce owej, może znajdziemy sposób jakowy.

— Trudność to będzie — chłopek odrzece — ciężka to sprawa, dobry człowiecze. Trza mi pieniędzy, i to nie mało, takby się z dziesięć dukatów zdąło.

— Dziesięć dukatów, toć to grosz mały, ja ci nasypię kapelusz cały, ale warunek postawić muszę, że za pieniądze oddasz mi duszę.

— Takiś ty, bratku — chłop myśli sobie — tożey ty dyabel w własnej osobie.

I mówi:

— Zgoda, zgadzam się na to, kapelusz

złota będzie zapłata! a duszy waćpan niech się spodziewa, gdy wszystkie liście opadną z drzewa.

Cieszy się dyabel z łatwej zdobyczy, a kmieć już w myśli dukaty liczy.

Na dzień następny zmówił się z biesem i w las Rokita smyrgnął obcesem.

Dnia następnego, gdy przyszła pora, chłop z kapeluszem czeka z wieczora.

Przyleciał dyabel z workiem pieniędzy, do kapelusza sypie czempredzej!

Wysypał jeden wór, srodze tłusty, wysypał drugi, kapelusz pusty, wysypał trzeci, wysypał czwarty, kapelusz ciągle pusty, rozwały.

— Co się to znaczy? — myśli Rokita i ze zdziwienia za łeb się chwyta, po nowe złoto pędzi w pospiechu.

A chłop przemyślny pęka ze śmiechu, bo w kapeluszu, co jak rzeszoto, dziurami leci dyabelskie złoto, wpada do dołu, a dół nieładą, zmieści się w onym złota gromada.

Powraca dyabel obładowany, do kapelusza ciska kubany, a gdy wysypał worków sześciu, wreszcie kapelusz pełny po brzegi.

— No! tom się zmachał — Rokita powie, a pot mu ciurkiem splywa po głowie. — Jam spełnił swoje, ty spełnij swoje, przyjdę w jesieni po duszę twoją.

Zaśmiał się, świsnął, jak wół, tak ryknął, kopytem szastnął i w lesie zniknął; a kmieć pocziwy z wielką ochotą aż na trzy wozy ładuje złoto, jeden na kościół księdzu oddaje, drugi dla biednych w miejscu zostaje, sobie wóz trzeci na końcu bierze i żyje wesół, pracuje szczerze.

Czas szybko mija, przechodzi lato, zbliża się jesień z swą barwną szatą, liść więdnie,

zółknie, wiatr go rozsiewa, aż wreszcie nagie zostały drzewa.

Raz, o świtaniu, kmięć siedzi sobie, wtem bies się zjawia w własnej osobie.

— Przepraszam bardzo, iż trudzić muszę, liści już niema, proszę o duszę. Wszak taka była nasza umowa, niech waść nie zwleka, do-trzyma słowa.

— Co? liści niema — chłop z śmiechem powie — chyba waszeci całkiem źle w głowie.

I wiedzie dyabła, gdzie bór sosnowy szumi na wietrze, jak w dzień majowy.

— A ta zielność? Toć to nie drwiny? Nie nagie jeszcze owe drzewiny. I póki one w swej szacie stoją, nie przychodź wasze po duszę moją.

Podskoczył dyabel na cztery łokcie, tupie kopytem, gryzie paznogie, lecz trudna rada, na nic gniew ony, las sosen będzie zawsze zielony.

A w takim razie przegrał Rokita, choć to osoba tak znakomita: chłop go oszukał prze-mądrzałego, więc całe piekło śmiało się z niego.

Marcin Wadowita.

— Marcinek, dość tego spania, słońce już dawno wstało, wstań i ty, chłopaczku, pognaj trzódkę na paszę, bo jak tatuś wróca na śniadanie, będzie źle.

Tak namawiała leniwego synka niemłoda krakowianka, krzątająca się po schłodnej wiejskiej chacie. Nagle poskoczyła ku śpiochowi, jakby na obronę, bo we drzwiach stanął gospodarz. Stanął, spojrzal i mruknąwszy:

— Co? Ten darmożjad śpi jeszcze! —

podniósł w górę biczysko, chcąc nim śmignąć w powietrzu. Nim zdążył jednak to uczynić, Marcinek, zerwawszy się z łózka, stał już w odległym kącie izby.

— Słuchaj, Marcin — rzekł ojciec — od dzisiejszego dnia musi być koniec próżniactwu. Ruszaj do trzody, a nie gawroń się, pilnuj, i niech cię Bóg broni, żebyś zgubił jaką sztukę.

Chłopiec w milczeniu ze spuszczoną głową wyszedł z chaty. W progu szepnął mu brat młodszy:

— Pilnuj dzisiaj trzody nie żartem, bo się pono wilczysko pokazało pod lasem.

Marcinek, zostawszy sam, rozejrział się po świecie, i widać ten wiosenny świat musiał uśmiechnąć się do niego, bo naraz poweselał, palnął z długiego bicza i zaśpiewał:

„Wieje wietrzyk, wieje, jasne słońko świta,
Krakowiaczek ci ja, Marcin Wadowita.“

Działo się to w roku 1584 na krańcu małego miasteczka Wadowice, leżącego w pobliżu Krakowa. Dzień był prześliczny, to też Marcinek, zapomniawszy zupełnie o niedawnym przestרחu, nucił wesoło:

„Przeleciał-ci gołąb nad stojącą wodą,
Trzymajże się razem, ty przebrzydła trzodo!
Przeleciał-ci chyżo, wody się nie napil,
Dam ci ja, Pstrokaezu, byłem cię przycapił.“

I naprawdę uderzył biczem Pstrokacza, najniesworniejszego z trzody, który już zginął mu dwa razy.

Po chwili, gdy zwierzęta pasły się już na łączce, Marcinek siadł na wzgórku i jał, po swojemu wyśpiewując, spoglądać więcej w niebo, niż na trzodę.

Tak zapatrzony, ani spostrzegł, jak na blizkim gościńcu ukazała się piękna kolasa.

Piasek tłumil stąpania koni, wlokących się
noga za nogą.

„Siadła biała chmura na Maryackiej wieży,
A niebieskie niebo na tej chmurze leży,
zaśpiewał nagle Marcinek.

Panowie w kolasie usłyszeli te wyrazy i
mimowoli spojrzeli ku Maryackiej wieży,
gdzie istotnie obłoki ułożyły się według opi-
su pastuszka.

On tymczasem znowu się odezwał:

„Uciekajcie, ptaki, uciekajcie żywo,
Bo się jastrząb zbójnik waży ponad niwa.“

Dwaj panowie podnieśli oczy w górę i uj-
rzeli jastrzębia wiszące w powietrzu.

— Uważasz waszmość, panie Sebastya-
nie, ten chłopak wyśpiewuje to, co widzi —
rzekł starszy.

— Ha odparł młodszy — dopiero co za-
brał Pan Bóg do siebie poetę naszego, dziel-
nego Jana z Czarnolesia, to może drugiego w
tym mizernym pastuszku gotuje.

„Oj, nie mam ja strzały posłać zbójnikowi.
Już po tobie, ptaszę! już cię zbójnik złowi“,
zaśpiewał Marcinek żalośliwym głosem.

— Pójdźmy pogadać z tym malcem —
rzekł pan Sebastyan i, wysiadłszy z kolasy,
obaj mężowie zbliżyli się ku pastuchowi.

— Chłopcze, kto cię tak śpiewać nauczył?
— zagadnął pan Sebastyan.

Ale Marcinek odwrócił tylko głowę,
otworzył usta z podziwu i ani słowa nie odpo-
wiedział.

— Słuchaj, nie masz ty ochoty uczyć się
na książce? — pytał pan dalej.

Chłopiec wciąż mileżał, spuszczał coraz
niżej głowę.

— Jakbyś się uczył, mógłbyś zostać księ-
dzem.

— I kazania gadać — krzyknął na te słowa Marcinek, zrywając się z gwałtownym rumieńcem i promieniejącymi oczyma.

— Tak, tak.. kazania prawić! Ale najprzód trzeba się uczyć, jeżeli chcesz tego, jedź z nami do Krakowa.

— E... A któżby tu ojcu trzodę pasał? — mruknął chłopiec po namyśle.

— A to ją paś całe życie, próżniaku — zawołał pan surowo.

— Ale jeżelibyś kiedy nauki zapragnął, przyjedź do Krakowa i pytaj o pana Sebastjana — dodał drugi. Kolasa oddaliła się, Marcinek patrzył za nią długo, potem przeniósł oczy na Maryackie wieże i znowu dumal, jak wprzód.

Nagle rozległ się ryk i bek przeraźliwy. Chłopak spojrzał i także krzyknął. Ogromny wilk włókl ku lasowi niesfornego Pstroka-cza, trzódka zaś przerażona pierzchała w różne strony.

Surowy ojciec stanął, jak żywy, przed oczyma chłopca i wątły Marcinek rzucił się w pogoń za wilkiem.

Ale las był duży. Gdy, nabiegawszy się napróżno, biedny pastuszek wrócił zmęczony na łękę, nie zastał tam ani śladu rozbiegłej swej trzodki. Zrozpaczony, chwycił się za skronie, a oczy jego, zachodzące łzami, padły wypadkiem na wieże Maryackiego kościoła...

Wówczas Kraków, pan Sebastjan, jego słowa, wyrzeczone przed chwilą, wszystko przyszło mu na pamięć, i Marcinek ze strachu przed gniewem ojca i karą, nigdy jeszcze nie-doświadczoną, a więc tem straszniejszą, bez namysłu puścił się pędem, ile mu jeszcze sił starczyło do Krakowa.

Minęło lat kilkanaście. Marcinek wyrósł na Marcina, zwanego Wadowitą, i zaślinał w

akademii krakowskiej jako uczony.

Nakoniec został proboszczem w kościele Ś-go Floryana na Kleparzu. Dla cnót swych, nauki i wesołego humoru był w całym Krakowie znany i lubiany.

Spełniły się pragnienia jego dzieciństwa; bo zostawszy księdzem, miewał doskonale kazania. Poetą nie był, ale umiał mówić i odpowiadać wierszem, gdy go pytano.

Pewnego razu w licznym towarzystwie, gdy Wadowicie, ubranemu w strój akademii, to jest w szatę aksamitną, ofiarowano pierwsze miejsce, uśmiechnął się i, zwracając się niby do swej szaty, zażartował:

Dzięki, panie aksamicie,

Dla ciebie cześć Wadowicie.

Pochodzenia swego nie wstydział się, ani go ukrywał. Przeciwnie, jeżeli chwalono jego wielką wiedzę, mówił, często przypominając zdarzenie z lat dziecięcych:

— Gdyby nie wieprzek, nie byłby Wadowita uczniem.

Umarł w roku 1644, kochany i żalowany przez wszystkich.

M. Zielińska.

Osieł i pies.

Osielek, niosąc, jak zazwyczaj, juki,
Szedł w ślad za panem, a za nimi z tyłu
Mający nad jukami i bydłkiem dozór,
Ledwie widny w kłębach pyłu,
Biegł pies, wywiesiwszy ozór.
Bogdaj takich dozorców! przez drogi czas
wszystek

Nie tknął się swego podwładnego lystek;
Owszem, bawiąc go, to z boku harcuje,
To się naprzód wysforuje.
Ogonem wciąż dla zachęty

Krety — węty...
Szli tak aż do południa.
Pan na skwar narzekał,
Siadł pod drzewem i zasnął.
Tego osieł czekał.
Obejrzał się i najpierw darń przy drodze
siekał.

Potem podstrzygać zaczął czubek miedzy;
Nakoniec przez rów hopsasa!
Widzi się na łące,
Jakoś mimo wiedzy.
Nie znalazłci tam przysmaków,
Chwastowiska, ni bodziaków,
Lecz koniczynę do pasa.

„Będę się miał z pyszna!
Tylko ty, człowiecze,
Zmiłuj się, śpij!“ Tak westchnął i siecze, a
Psu oskoma i pokusa. (siecze.)
„Mój osłosiu, od rana jestem na czezo, mdli
mię,

Ty masz wędzonkę w jukach, aż stąd czuć po
Pozwól, że dam jej całusa! (dymie,
Wiesz, jak zrobimy? Ja na łapy stanę dębkiem,
A ty przykleknij na jedno kolano.“
Nasz osieł, jakby do muru gadano,
Siecze, a zuje — milcząc. Aż wreszcie pół-
gębkiem,

Wypchanym koniczyną: „Co się tu wałęsasz?
Poszedłbyś psie do nogi! jak jegomość
Da ci śniadanie.“ (wstanie,
Odpowiedzi nie czekał
I obuszczak znowu
Tak narwał trawy,
Że aż wygryzł w ziemi dołek,
Klnąc psa, że mu przeszkadza.
Wtém nagłe z za rōgu
Błysnął ku niemu parą krwawych świec
Biorąc go na cel swój.“ (wilkołek

Wtedy do psa: „Bracie, broń! ciuciu! na tu!
ratuj!„

A pies: „Ja nie twój „Ratuj“, ani twój pan
Nie wrzeszcz i łąki ni tratuj, („Broniec“,
Czekaj, aż jegomość wstanie
Na waści obronę i poratowanie...“
W tej chwili wilk osła dodusił,
Ot i koniec.

Jakto było w lesie.

Szedł właśnie stary Szymon, gajowy, do lasu i wziął z sobą kowalowego Jędrusia, który mu był chrześniakiem.

A w lesie był szum wielki, właśnie jak gdyby każde drzewo coś sobie mówiło.

Nadstawił Jędrus ucha z prawej strony, nadstawił z lewej, ale nie jakoś wyrozumieć nie mógł; pociągnął tedy starego Szymona za kapotę i rzekł:

— Chrzestny!

— A co tam, chłopcze? — zapytał Szymon.

— A bo mi się widzi — mówił dalej Jędrus, — że te drzewa cości gadają, a nic jakoś wyrozumieć nie mogę.

— A no — odrzekł stary gajowy — boś jeszcze mały pędrak, to się na takich mowach poznać nie umiesz. Ale kto długo żył, a często ich słuchał, to tak wszystko wyrozumie, jakby ludzkie głosy.

— O la Boga! — zawołał Jędrus. — Jakże to? Powiadajcie, chrzestny, bom okrutnie ciekaw.

— Czekajno, czekaj, nie bądź taki pędrki — rzekł stary Szymon i, siadłszy na pniu, ognia do fajeczki skrzesał, pyknął raz, pyknął drugi raz, a widząc, że chlopeu aż oczy się

świecą z wielkiej chętki do onej opowieści, tak zaczął.

— Widzisz, chłopcze, ten dąb przed nami?

— A widzę! rzekl. — Okrutne jakieś dębisko... Rosochacz taki, że strach. Nakrylby i chalupę naszą i obórkę z Granulą, jeszczeby się i gołębnik z gołębiami pod niego zmieścił. O, gdzie to tu do wierzchu!

Przechylił się jeszcze mocniej w tył, a wtem mu kapelusze spadł z głowy, a stary Szymon na to:

— Dobrześ zrobił, chłopcze, żeś się kapeluszem poklonił przed dębem, bo to z całego lasu najgodniejsze drzewo; właśnie jakby gospodarz między czeladzią. On tu najgłośniej gada i najradziej słuchają go te inne drzewa. het, precz, aż do samego wyrębu.

Jędrus przypadł staremu do kolan:

— Oj, powiadajcie, powiadajcie, chrzestny, co on też tak gada?

A tu jak na to zakolysał się ów dąb za wichrem od samego wierzchołka swego, a konary jego zaszumiały, jak organ w kościele.

Stary Szymon pomileczał chwilkę, podniósł głowę siwą i tak prawil:

— Wszystko, chłopcze, ma swój głos na świecie, a każdy głos taki, to jak nuta w pieśni. A człowiek, co takiej pieśni nie rozumie, chodzi, jak głuchy po świecie. A lasy, co tutaj wyrosły, obce pieśni śpiewają, każdy według swego miejsca. A ten, widzisz dąb, to powiada tak:

„Dziatki, moje dziatki,
Syny i wnuczeta,
Kto z was dawne czasy,
W lesie tym pamięta.
O, wy dawne czasy,
Gdzieście się podziały,

Kiedy nad tym lasem
Sokoły latały.“

Otworzył Jędrusź buzię i słuchał, bo myślał, że jeszcze będzie dalej, ale stary Szymon zamilknął i tylko siwą głową pokiwał i fajeczkę kurzył.

Po chwili Jędrusź rzekł:

— A ta sosna, chrzestny, co też ona mówi?

— Ta sosna — odpowiedział stary Szymon — ta sosna znów ma mowę taką:

„Na wschodzie, na niebie,
Tam się palą zorze;
Zrabali sosenkę,
Wysłali na morze.
A nad owem morzem
Siwy orzeł kracze,
Sosenka się smuci,
Lasu swego placze.“

— O moiście wy! — zawołał Jędrusź, a już miał łezki w oczach — to i ja jej żaluję, kiedy ona tak żalośnie śpiewa.

— A brzoza — rzekł po chwili — mówi też co?

— Oj, oj! — odrzekł stary — brzoza to gaduła. Raz w raz coś tam sobie przepowiada. Raz tak, drugi raz owak, zwyczajnie takie drzewo, co gdzieniebądź rośnie. A ta, co tam na lewo na górze stoi i listkami drobnymi rusza, to tak mówi:

„Leśną ścieżką, wąską drogą,
Szedł tu żołnierz z chromą nogą;
Szedł tu żołnierz, odpoczywał,
O swej chacie pieśni śpiewał,
A jam pieśni zrozumiała,
Liścieczkami zaszumiała,
Wracaj, wracaj, choć bez nogi,
W swojej chatki mile progi.“

— To ona tak rozmówi się z człowiekiem?
— pytał Jędrak.

— A cóż? ma ci wszelkie stworzenie swoją mowę własną.

— A wierzba co też gada? — pytał dalej Jędrus.

— Wierzba — odpowiedział stary Szymon — to mówi tak:

„O, mój gospodarzu,
Sadźcie mnie nad rzeką,
By się głos fujarki
Rozlegał daleko;
Pójdzie tędy chłopiec,
Wytnie fujareczkę,
Będzie, śpiewał, wyśpiewywał
Wesołą piosneczkę.

Jędrus jeszcze szerzej usta otworzył.

— No i cóż — zapytał Szymon — podoba ci się?

— Oj, podoba mi się, podoba! okrutnie mi się podoba. Jak teraz pójdę do lasu, to każde drzewo zrozumie, co ono śpiewa.

— A ta olszyna, chrestny, mówi też?

Ale Szymonowi zgasła fajeczka, więc ją wytrząsnął, schował do torby borsuczej, powstał z pieńka i rzekł:

— Ot, wszystkobyś naraz chciał wiedzieć. To tak nie idzie, mój chlopcze. Zapamiętaj sobie najpierw to, com ci powiedział, a jak tu przyjdziemy drugi raz, to znów ci powiem. Teraz trzeba iść patrzeć, czy lisy nie szkodują na wyrębie.

I poszli.

Wąż wodny.

W naszym kraju żyje pięć gatunków węży. Najpospolitszy z nich jest tak zwany wąż

wodny, dość duży, bo mający około dwóch łokci długości, barwy najczęściej niebieskawo lub oliwkowo-szarej, z dwoma szeregami plamek czarnych na grzbiecie.

Wąż wodny żyje w okolicach wilgotnych po lasach i łąkach w bliskości wód, które chętnie odwiedza. Plywa i nurkuje wybornie. Na lądzie obiera sobie kryjówkę w gąszczach pod liśćmi lub kamieniami i niekiedy osiedla się w sąsiedztwie ludzkich mieszkań, w piwnicach i śpichrzach, a nawet zagłada do pokojów. W miejscowościach, obfitujących w te węże, można znaleźć go nieraz w własnym łóżku. Spotkanie to niemile nie przedstawia jednak żadnego niebezpieczeństwa, gdyż wąż boi się człowieka i trzeba go bardzo rozdrażnić, żeby użył zębów do obrony. Ale ukąszenie jego nie pociąga żadnych złych następstw, gdyż nie jest on wcale jadowity.

Pokarmu nie gryzie, tylko go polyka; dostarczają mu go drobne zwierzęta: żaby, jaszczurki, myszy, nieduże ryby, ślimaki, a niekiedy większe owady.

Takie polknięcie całkowitej zdobyczy nie jest jednak łatwe i wymaga wielkiego wysiłku. To też młode węże na polknięcie żaby zużywają przeszło godzinę, starsze załatwiają się z tem w 10—15 minut.

W jesieni węże wpadają w sen zimowy, ukrywszy się w bezpiecznym miejscu, i budzą się dopiero na wiosnę.

Po przebudzeniu się zrzuca wąż skórę, a właściwie naskórek, to jest cieniutką, zewnętrzną warstwę skóry. Ciekawie wygląda taka zrzucona „koszula węzowa“, cienka i przezroczysta, a przedstawiająca odciski łusek, pokrywających skórę.

Samica węża wodnego składa w początkach sierpnia 20—30 jaj, wielkości gołębic.

Jaja te nie mają wcale skorupki, lecz są pokryte jedynie białą, miękką skórką. Samica nie wysiadauje jaj, ale składa je w nawozie lub gnijących liściach.

Po upływie trzech tygodni lęgną się małe węże; mają one 6 cali długości, posiadają małe ząbki i umieją od razu karmić się same, ale rosną bardzo powoli.

Węże wodne żyć mogą kilkanaście lat, jak o tem się przekonano na okazach, trzymanyh w niewoli. Oswajają się łatwo i przywiązują do ludzi.

Do mamy.

- A gdzie to idziesz, dzieciño droga?
Gdzie to tak późno bląkasz się sama?
— O, ja daleko idę do Boga!
Do nieba idę, gdzie moja mama!
— Ależ ty słaba jesteś sierotka,
A droga twoja bardzo daleka.
A nuż co złego w drodze cię spotka?
Człowiek cię skrzywdzi, zły pies zaszczeka?
— O, mnie duch mamy kochanej strzeże,
I nie odstąpi odemnie kroku;
Ja sobie idąc mówię pacierze,
A mama idzie przy moim boku.
— I nic-że tobie, dziecic, nie trzeba?
Ani zabawki? Ani sukienki?
— Nie, bo ja idę sobie do nieba,
A w drodze śpiewam smutne piosenki.
— I dawnoż idziesz?
— Wstałam o świcie,
Przed wschodem słońca wyszłam z mej
cuatki,
I tak iść będę przez całe życie,
Póki nie zajdę do drogiej matki!
-

Podanie o mysikröliku.

Działo się to niby w tych odległych, dawnych czasach, kiedy ludzie jeszcze ognia nie znali. Latem, dopóki promienie słońca przygrzewały, wszystkim, było dobrze, ale zimą marzli ludzie i dzwonili zębami.

Co tu robić? — „Ach, żeby to kogo wysłać do słońca z prośbą, choć o jeden promyczek — mówili do siebie. — Zaraz ogrzalıbyś się, zaraz byłoby lepiej.

Ale kto taką drogę odbyć może? Któżby... Chyba ptaki?... Motylki i muszki również skrzydła mają, ale nie doleciałyby tak daleko.

Lecz żaden z ptaków nie chciał słyszeć nawet o tej podróży.

— Co mi tam odpowiedział każdy. — Jeszcze się spalę. Mnie ogień niepotrzebny. Będę się tam dla drugich narażał!

Aż tu najmniejszy z ptaszków, ani proszony, ani pytany, odzywa się:

— Ja polecę do słońca. Was szkoda. Ten gwizdże, tamten śpiewa pięknie. A ja co? Mój śpiew taki sobie, nieszczególny. I tak mi żal biednych ludzi, tak mi żal! Lepiej niech jeden pocierpi trochę, niż wszyscy.

Więc poleciał.

Leciał długo... długo... aż przybył do słońca. Zaraz też w prośby uderzył:

— Słoneczko najdroższe, zlociste, daj mi choć jeden promyczek! Zaniosę go ludziom, niech ogień sobie rozpalą, niech nie marzną z zimna.

Uśmiechnęło się słońce.

— No... no.. Ktoby to pomyślał, patrząc na ciebie, żeś taki zuch. Odważnyś, mój maleńki. Dobrze, dobrze, w nagrodę za twoją odwagę masz jeden promyczek. Zanieś go na

ziemię tym zmarzlakom, niechże sobie ogień roznieca. A teraz zmykaj co tchu, bo jeszcze się spalisz. Tu u mnie trochę za gorąco dla ciebie.

Odleciał ptaszek. Niesie w dziobku promień słońca. Pali go, boli, lecz on ani zważa.

I wciąż myśli. — Niech tam! lepiej, żeby jeden przecierpiał, niż wszyscy.

Wrócił ptaszek na ziemię, piórka ma osmalone, na głowie wypaloną plamkę, ale jednak wesół, szczęśliwy.

Oddaje ludziom promień słońca, o swej drodze opowiada.

Dopieroż to zaczęły się sypać podziękowania! A ptaki wolają:

— Kiedyś taki odważny i dobry, to króluj nad nami.

— Króluj! Króluj! — powtarzają wszyscy.

— Już ci słońce nawet koronę włożyło. Na główce masz plamkę zlocistą.

Ale ptaszek nie chciał słuchać o żadnym królowaniu.

— Dajcież mi pokój! Za mały jestem na króla. Nic nie umiem! — bronił się.

Wreszcie uciekł i schował się w mysią norkę.

— Już tutaj chyba żaden ptak za mną nie wejdzie.


Żaden nie wszedł, bo nie byłby się zmieścił, ale wszystkie czekały przed norką i skoro tylko ptaszek lepek wychylił, obwołano go już nie królem, tylko królikiem. A ludzie ten tytuł na nazwę „mysikrólik“ zmienili.



9/13
1000
1000

Biblioteka
Główna
UMK Toruń

643911



Redaktor odpowiedzialny Mieczysław Piechowski
:: :: :: :: w Grudziądzu. :: :: :: ::

